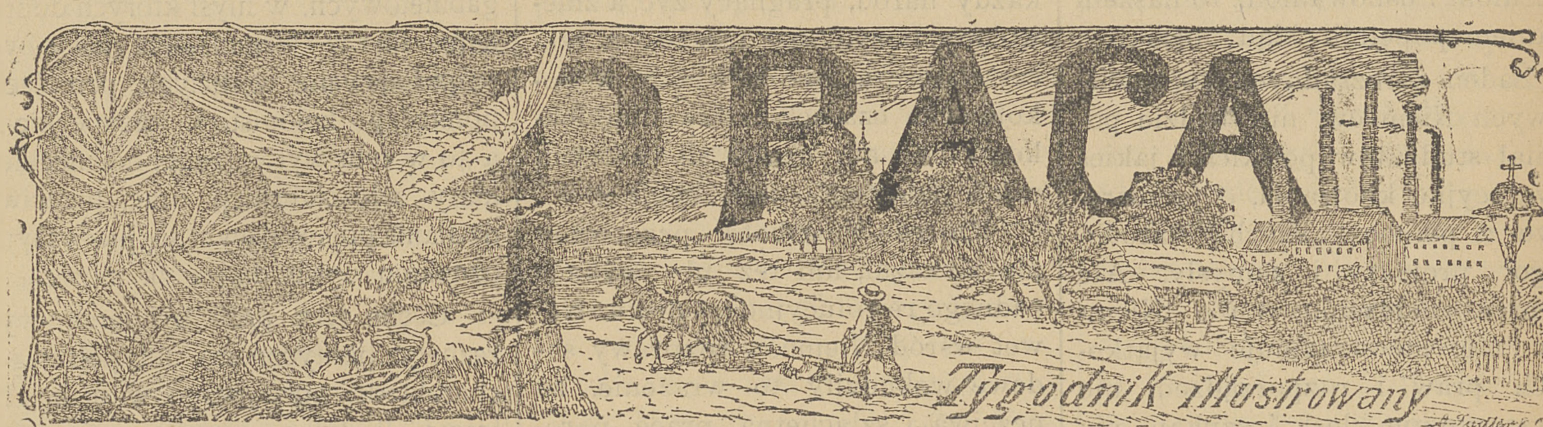
Nr. 29. Poznań, Niedziela dnia 21-go Lipca 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 m.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal. za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Do naszych akademików
z okazyi procesu.

Proces przeciwko młodzieży naszej uniwersyteckiej o przynależenie do tajnych stowarzyszeń i związków przykuł do siebie z chwilą rozpoczęcia rozprawy powszechną uwagę i stał się przedmiotem rozmaitych zdań i sądów. Przyczyny niezwykłego poruszenia opinii szukać należy nie tylko w zachowaniu organów władz pruskich w tejże sprawie, lecz nie mniej w wyświetlaniu szczegółów rzekomej winy, obsłoniętych dotąd dyskrecyą i pieczętowanych milczeniem. Dziś, gdy z przebiegu rozpraw,*) wyłania się treść właściwa tego niby to strasznego przewinienia, jest na czasie przyjrzeć się bliżej głównym faktom, które kilkunastu akademików, zaprawdę nie najgorszych duchowo i moralnie, ale właśnie do lepszej części naszej młodzieży należących, przywiodły na ławę oskarżonych.

Jeżeli kiedykolwiek, to właśnie w tym wypadku odróżniać należy treść moralną rzekomego przewinienia od formy, w jakiej się objawiło. Gdyby ów sens głębszy moralny „nieprawidłowego" czynu był istotnie karygodnym i we wszystkich wypadkach karanym, to naród polski prawie cały musiałby siedzieć w kozie. Bo wszakże właściwą treścią winy jest miłość Ojczyzny i Narodu, ta miłość pragnąca działać i poświęcać się dla dobra narodu, miłość, z której wypłomienia się zapał do pracy szlachetnej, nadzieja w pomyślniejszą dolę, wiara w przyszły byt narodowy, ta sama wiara, co wiara w sprawiedliwość Boga. Natchnieni takiemi uczuciami, stanowiącemi na całym świecie cenne zalety duszy młodzieńczej, akademicy polscy łączyli się, podawali sobie bratnie dłonie i zagrzewali się wzajem, ażeby uszlachetniać i uzacniać narodowego ducha, a trybem samopomocy kształcić pośród siebie jednostki na dzielnych obywateli społeczeństwa polskiego. Praca nad ludem i dziatwą, rzuconą na pastwę giermanizacyi, stanowiła obok samokształcenia właściwą treść programu oskarżonej młodzieży. Każdy więc człowiek, byle człowiek, a nie rozszalały nienawiścią jaki szowinista pruski, nie byłby zdolny do potępienia tak naturalnych, tak prostych a pięknych ideałów. Taką myślą natchniona młodzież, o ile wyższą wydać się musi każdemu, od wielu z pośród akademików niemieckich, dla których najwyższa cyfra wychylonych kufli piwa najwyższym częstokroć ideałem? O ile też więcej warta młodzież, przygotowująca się zawczasu z zapałem i z powagą do przyszłych obywatelskich zadań, niźli wielu innych polskich studentów marnujących siły swoje przy zielonych stolikach lub przeróżnych nocnych rozrywkach, które nieraz na zawsze zabijają młodzieńczego ducha i wypaczają charakter?

Tak oceniamy moralny pierwiastek w ruchu tej młodzieży, która po licznych śledztwach, rewizyach i przesłuchach, stawała w ostatnich dniach przed sądem w charakterze oskarżonych.

Inną atoli kwestyą, czy do objawiania w czynie swych uczuć szlachetnych młodzież ta właściwe obrała sposoby, czy dobremi były drogi do dobrych celów. Z prawem naszem do bytu narodowego, z obowiązkami pracy dla zachowania języka i obyczajów narodowych, a nawet z pragnieniem, ażeby narodowi naszemu przywróconem było to, co mu przemocą zabrano, bynajmniej taić się nie potrzeba. Mamy prawo żyć, działać dla polskiego dobra, spodziewać się i wierzyć. Jeżli zatem

*) Patrz artykuł p. tyt. „Proces przeciwko akademikom polskim." — Przyp. Redakcyi.

akademicy nasi istotnie nadali formę mniej lub więcej tajną swym dążeniom i usiłowaniom, to naszem zdaniem popełnili błąd formalny.

Żaden z rozsądnych a sprawiedliwych Niemców nie będzie powiniał studentów polskich o jakieś rewolucyjne knowania, o przewrotowe z pomocą „skarbu narodowego“ projekty i zamysły. Ale to przeświadczenie wśród Niemców nie powstrzymuje wyjątkowych praw i rozporządzeń, nie powstrzymuje klęsk i szykan, nie powstrzymuje ostrego wkraczania władz w nasze życie narodowe, ażeby je przy lada sposobności podciąć i obezwładnić. A taką właśnie sposobność dogodną nastręcza się władzom każdą tajnością organizacyjną, do której wśród danych okoliczności i warunków nic nas nie zniewala. Ale po za tym inny jeszcze wzgląd przemawia stanowczo przeciw wszelkim tajnym stowarzyszeniom i związkom. Społeczeństwo nasze, w coraz trudniejszem swem położeniu, potrzebuje coraz więcej sił dzielnych, gotowych do poświęcenia, zdolnych do obrony. Siły takie ochraniać jest naszą powinnością. A cóż się oto dzieje niekiedy z takiemi właśnie siłami, które żywym dla sprawy zapałem kierowane, najwięcej obiecują? Oto poucza nas proces, jak bardzo przez tajne organizacye narażone są na wykolejenie, na złamanie, na przedwczesne starganie. Czyż mamy tych sił tak do zbytku, że ich kilka lub kilkanaście od razu łatwo można rozstrwonić? A czy wykolejenie jednostek takich, już blizkich mety swego życia nie jest też prawdziwą klęską dla rodziców i dla rodzin?

Rozumiemy i pojmujemy bardzo dobrze, iż każdy naród przechodzi chwile wielkiej tragiki, w których idea narodowa wielkich ofiar się domaga. I my mieliśmy niejeden moment taki, w którym naród składał na ołtarzu poświęceń najbujniejsze, najwięcej obiecujące młodzieży kwiaty.

Powiemy nawet więcej jeszcze. Smutno z narodem, który żyć pragnie, a poświęcać nie umie. Ale każdy naród, pragnący żyć, a zniewolony liczyć się trzeźwo z rzeczywistością, nie powinien w pokojowych czasach roztrwaniać lekkomyślnie ani części sił, których całość stanowi o jego bycie.

Proces w sobotę przerwany nie wykazał, ani też nie wykaże żadnego rewolucyjnego spisku. Nawet wśród Niemców rozprawy sądowe wzbudziły to wrażenie, że uczciwą i szlachetną pracę narodową polskiej młodzieży rozdęto z powodu formy tajnej do rozmiarów wielkiej politycznej zbrodni.

Nie wątpimy też, że jeśli trybunał nie będzie się trzymał formy, a wniknie raczej w niewinną istotę dążeń i pracy akademików, natenczas wyda uwalniający wyrok na wszystkich bez wyjątku. Ale i wtedy pozostanie niejednemu z obżałowanych szkoda wielka, już to przez zwichnienie karyery, już też przez znaczny uszczerbek w czasie.

Dlatego, jakkolwiek cenimy wysoko i uznajemy pobudki szlachetne usiłowań młodzieży uniwersyteckiej, zwracamy się do niej z zachętą, ażeby tych cennych pierwiastków duszy młodzieńczej, jak miłość Ojczyzny, gotowość do ofiar dla niej, pragnienie jej dobra, nie zatracała, używała ich wytrwale do skrzętnej i pożytecznej narodowej pracy, ale otwarcie, bez pozoru nawet tajności.

Narodowiec.

Kolonizacya rządowa
i jej zdobycze.

„Dokąd-że, Panie, nie sądzisz i nie mścisz się?“

Ustanowienie pruskiej komisyi kolonizacyjnej z roku 1886-go poprzedzają rozmaite próby czynione przez Niemców na polu polityki kolonizacyjnej: że wspomniemy tu o parcelowaniu domen rządowych na Pomorzu około 1860 roku, następnie w tejże prowincyi w r. 1875 i 1876; o sięgających jeszcze burzliwego 1848 roku rozporządzeniach gabinetowych, w myśl których dobra kameralne w Poznańskiem miały być rozprzedawane w małych parcelach pomiędzy kolonistów niemieckich, a to w celu wytworzenia niemieckiej klasy włościańskiej, oraz przeciwdziałania pojawiającym się pierwszym oznakom wychodźtwa za morze.

Cechą tych prób był brak wyraźnego politycznego antypolskiego charakteru; upatrywano w nich reformę li tylko w ekonomicznym kierunku. Wspólnym losem tych usiłowań było rzetelne niepowodzenie.

Jakkolwiek jednak niepowodzenie to na czas dłuższy zniechęciło rząd do podjęcia jakiejkolwiek akcyi w danym kierunku, to jednak myśl pozostała i czekała tylko na sposobniejsze warunki, aby na nowo zacząć kiełkować.

Aby zrozumieć, w jaki sposób zasadniczo zdrową w pomyśle ideę wzmacniania stanu włościańskiego zapomocą parcelacyi, z ramienia państwa, przekształcono na narzędzie politycznych celów państwowych, cofnąć się trzeba myślą w czasy Flottwella i przypomnieć, że jednym z najważniejszych środków, którymi posługiwał się ten „działacz niemiecki na wschodzie“ — było wykupywanie majątków z rąk większych właścicieli-Polaków.

Gdy po wojnie francuskiej Prusy, sterowane dłonią żelaznego kanclerza, coraz to bardziej zaczęły w wewnętrznej polityce rządzić się egoizmem państwowym i dążnością zamalgamowania wszelkich różnić narodowościowych w tyglu pruskiej idei państwowej, — w polityce wobec Polaków sięgnięto znów do Flottwella, wydobyto z pyłu zapomnienia jego „*Denkschrift*“ i natrafiono tam na projekt *wykupna* ziemi z rąk polskich.

Ze skombinowania tych dwóch idei: flottwellowskiej — wykupna ziemi w celu germanizacyi zabranych prowincyi — oraz ekonomicznej — wytwarzania niezależnego stanu włościańskiego zapomocą parcelacyi — wytworzyła się myśl przewodnia

istniejącej po dziś dzień komisyi kolonizacyjnej.

Tak wystąpiła na jaw w obradach sejmowych 1885 roku, tak wygląda w mowie tronowej z roku 1886-go i nieinaczej się zarysowuje w projekcie prawa, przedłożonego sejmowi dnia 8-go lutego 1886 roku, na mocy którego przyznano jej sto milionów marek w celu wzmocnienia żywiołu niemieckiego przez wykupno własności ziemskiej z rąk Polaków, rozparcelowanie jej i oddanie chłopom niemieckim już to w dzierżawę, już to na własność w drodze sprzedaży.

Znaczenie i cel ustawy kolonizacyjnej objaśniają najlepiej mowy żelaznego kanclerza z roku 1886, w których równie otwarcie — cyniczny, jak szczegółowy sposób zarysował się cały, jednolity niemal program tępienia, obejmujący i kościół, i szkoły, i stowarzyszenia, a nawet prasę: kulminacyjnym zaś punktem tego programu był tytaniczny w swoim rodzaju projekt wykupienia ziemi z rąk polskich. Zadanie to miała spełnić komisya kolonizacyjna, obejmując niejako wykonanie jednej tylko strony programu.

Grunt pod ten program przygotowany był zawczasu przez Bismarka i to w tych rozmiarach, na jakie tylko jego wszechstronność w używaniu środków politycznych zdobyć się mogła: program środków antypolskich rozwinąć się miał na gruncie przygotowanym przez pamiętną masową banicyę przeszło 30 tysięcy Polaków, przez rozwiązywanie polskich stowarzyszeń, przez przenoszenie nauczycieli i urzędników w głąb Niemiec, — przez zamknięcie seminarjów w polskich dyecezyach i wyniesienie po raz pierwszy Niemca na stolicę arcybiskupią.

Bardziej jednak od tych wszystkich środków, mających osłabić siły polskiego społeczeństwa, opierał Bismark swe obliczenia na tej nadziei, że ekonomiczne przesilenie, które mianowicie Polaków dotykało wówczas w Poznańskiem bardziej nawet niż Niemców, ułatwi urzeczywistnienie jego planów i drogi przed nim wyrówna.

W rzeczy samej właśnie w czasach, gdy Bismark projektował komisyę kolonizacyjną, przesilenie rolne w Księstwie ujawniało się już w podniesionem do drugiej potęgi usuwaniu się z ekonomicznej i społecznej widowni wielkiej własności ziemskiej, a coraz silniej występowała na porządek dzienny paląca potrzeba wytwarzania drobnych włościańskich posiadłości, całej klasy drobnych właścicieli. W naturze ekonomicznych warunków społeczeństwa polskiego w Poznańskiem leżał inny od dotychczasowego podział ziemi między warstwy społeczne. Z jednej strony upadek wielkiej własności wskutek ciągłego pogarszania się warunków produkcyi nie ulegał żadnej wątpliwości, natomiast tworzenie się średnich gospodarstw włościańskich nie posuwało się tak szybkim krokiem, aby wypełnić luki, tworzące się w ekonomicznym i społecznym ustroju. Kolonizacya wewnętrzna, dokonywująca się w społeczeństwie samorzutnie, zapomocą parcelacyi, nie dorównywała szybko posuwającemu się upadkowi wielkich posiadłości.

Przyczyną tego upadku w okresie 1876—1886 r. było zupełnie nierównomiernie wzrastanie ceny ziemi w stosunku do wzrostu kosztów produkcyi.

Cena większych własności t. j. takich, które mają więcej niż 1500 mk. czystego dochodu do podatku gruntowego, wynosiła, jak podaje dr. Kalkstein*) — 52 razy pomnożony czysty zysk; cena zaś gospodarstw włościańskich z czystym dochodem od 300 mk. — do 1500 mk. wynosiła już sumę otrzymaną przy pomnożeniu dochodu przez 65. Koszta produkcyi w wielkiej własności wzrastały więc szybciej niż powiększała się cena ziemi. Wreszcie przyjść musiała chwila kiedy koszta produkcyi i zysk z produkcyi rolnej w wielkiej własności zaczęły się znosić. Długi wzrastały w wielkiej własności również szybciej, niż w małej. W roku 1884 w polskich prowincyach państwa pruskiego większa własność miała 28 razy więcej długów hypotecznych, niż jej czysty dochód wynosił, podczas gdy własność włościańska tylko 18 razy więcej była obdłużona. W gospodarstwie włościańskiem, gdzie właściciel jest zarazem znacznym konsumentem, nie dał się tak silnie odczuć wpływ konkurencyi zboża amerykańskiego i indyjskiego: wielka własność zaś podwójnie odczuwała skutki tej konkurencyi.

Tak więc w epoce ufundowania komisyi kolonizacyjnej wielka własność podobną się stawała z dniem każdym do starego zmurszałego fundamentu, który z dniem każdym coraz słabsze mógł dawać oparcie budowie społecznej. Z drugiej strony proces tworzenia się polskiej drobnej własności na miejsce upadającej wielkiej napotykał na przeszkody w postaci niezamożności warstw niższych. Charakterystyczną cechą ustroju społecznego był latyfundjalny właściciel u góry, bezwłościowy rolniczy robotnik — u dołu. Na 20—30 tysięcy właścicieli ziemskich przypadało 1 i pół do 2 milionów bezwłościowych robotników. Ten brak środkowego ogniwa w ekonomicznym ustroju, ten proletaryat robotniczy z jednej — a wielka własność z drugiej strony wytworzyła lukę w chwili, gdy rozpoczął się upadek wielkiej własności polskiej. Nie było komu wstąpić w jej prawa we władaniu ziemią.

Tę lukę postanowił wypełnić Bismark — zapomocą komisyi kolonizacyjnej, któraby na miejscu wielkiej własności polskiej wytworzyła drobną posiadłość włościańską — niemiecką.

Wykazaliśmy powyżej polityczną stronę tego projektu i jego ścisły związek z ogólno-germanizacyjnym programem.

W motywach prawa, ustanawiającego fundusz kolonizacyjny, obiecywali sobie Niemcy, że wykupią 200 tysięcy hektarów ziemi funduszem 100 milonowym i że osiedlą w koloniach 40 tysięcy osadników. Nadzieje te się nie ziściły: zaledwie 3595 „kulturträgerów“ osiadło do

*) Położenie nasze. Toruń 1887.

końca roku 1889, a cena ziemi znacznie się podniósłszy wręcz niezniszczalną uczyniła nadzieję nabycia 200 tysięcy hektarów.

Według informacyi, podanej w roku 1886 przez ministra Luciusa sejmowi pruskiemu przy obradach nad utworzeniem komisyi, w Księstwie Poznańskiem było wówczas prywatnej własności większej (do własności większej liczono majątki od 155 hektarów począwszy) ogółem 1,380,342 hektarów, z czego do Polaków należało 656,443 ha., do Niemców zaś (łącznie z dobrami skarbowemi) 723,899 ha.

W tymże roku przypadało na małą własność włościańską w Księstwie 46,7% ogólnego obszaru — t. j. 1,055,200 hektarów. Z tego 655,700 ha. należało do Polaków, drobnych właścicieli, zaś 399,500 do Niemców.

Widzimy więc, że w chwili założenia komisyi kolonizacyjnej stosunek Polaków do Niemców był niekorzystny w większej własności, w mniejszej zaś był korzystny.

Przez czternaście lat swego działania komisya kolonizacyjna zdołała już przegospodarować pierwsze sto milionów, obecnie zaś czerpie z drugich stu, przyznanych jej specyalną nową ustawą za czasów kanclerza ks. Hohenlohego: ale w ogólnych zarysach stosunek, naszkicowany powyżej nie zmienił się, a raczej, ściśle rzecz biorąc, niekorzystny stosunek Polaków do Niemców w większej własności pogorszył się, natomiast w odpowiedni (terytoryalnie) sposób poprawił się jeszcze bardziej korzystny stosunek Polaków do Niemców w sferze małej własności.

Wprawdzie nie ziściły się przewidywania tych, którzy sądzili, że komisya w pierwszych paru latach swej działalności wykupi z rąk polskich te majątki, które, czy to wskutek ekonomicznych lub moralnych czynników będzie mogła kupić, i że na tem będzie musiała poprzestać; wprawdzie okazało się, że pomimo kilkakrotnego oddzielenia pszenicy od plew — wciąż jeszcze plewy się znajdują między najlepszą pszenicą, ale to pewna, że najobfitsze żniwo komisya kolonizacyjna już zebrała w pierwszych sześciu latach swego istnienia (wykupiła bowiem około 7 i pół procent ziemi należącej do większych właścicieli), z każdym rokiem jednak staje się nabywanie ziemi dla niej coraz trudniejsze — a straty po stronie polskiej wynadgradzają się częstokroć z nawiązką przez wykupywanie ziemi z rąk niemieckich przez polskich drobnych właścicieli.

Komisyę kolonizacyjną uważać dziś można za dzieło zupełnie chybione, pominąwszy już bowiem to, że nie osiągnęła ona swego celu politycznego: wykupienia wielkiej własności polskiej, chromać ona musi zawsze pod względem gospodarczym z powodu, iż zawsze walczy z trudnościami dostania odpowiednich ludzi, na kolonistów; wpajając w nich przekonanie, że *„von Staats-wegen“* są rozsadnikami niemieckiej „kultury“ i że spełniają polityczną misyę, przyczynia się komisya w ten sposób do osłabienia w nich prawdziwej gospodarczości, w każdym bowiem przypadku oglądają się na pomoc państwową. O moralnych krzywdach — jak o wypaczeniu pojęć równości praw obywatelskich — już nie wspominamy.

Dzieło przeżyło wprawdzie swego twórcę, usunięcie Bismarka od rządów nie powstrzymało państwa od wyznaczenia nowych 100 milionów na cele kolonizacyi, ale dzieło to trzyma się raczej uporem systemu państwowego pruskiego w polityce antypolskiej, niż wewnętrznemi zaletami. Zawdzięczając istnienie swe polityce, nieudany ten płód reform ekonomicznych, zniknąć też będzie musiał z widowni z chwilą, gdy zerwie się polityczny pasek, podtrzymujący dziś jego istnienie.

Ale pamiętać trzeba zawsze, że jeśli kolonizacya rządowa nie osiągnęła w pełni swych zamiarów, to nie zawdzięcza tego społeczeństwo wielkiej własności, że się nie chciała dać sprzedać, lecz raczej temu, że tworzenie się małej własności polskiej sparaliżowało plany rządowe. I w tym wypadku, jak w tylu innych, przekonał się rząd, że *sprawa polska dziś ma już trwałe oparcie w polskim mieszczaninie, robotniku i chłopie.*

Poznańczyk.

Położenie naszego duchowieństwa.

Żandarmi, uwijający się po kościołach naszych, aby dzieciom, przygotowującym się do komunii pod opieką księdza, odbierać książki i tabliczki; księża nasi, stawiani przed sąd za mowy, wygłaszane na wiecach w obronie wykładu religii w ojczystym języku; gazety hakatystyczne, szczujące na całe nasze duchowieństwo, od Arcypasterza począwszy, a na najmłodszym z wyświęconych księży skończywszy, jeśli tylko język polski nazywa swym językiem ojczystym — oto ilustracya dzisiejszej doby.

Cóż to, czy wśród nowego kulturkampfu żyjemy? Czy państwo na nowo szuka zwady z Tym, Którego mandat i władza „nie z tego świata jest?“

Prawieby sądzić można, że maluczko, a ujrzymy nową seryę tych wszystkich niesłychanych przykładów naigrywania się z religijnych uczuć ludności, — nazwaną kulturkampfem. Rząd chciałby coraz więcej ingerencyi na sprawy duchowne dostać w swe dłonie: kasując polskie wykłady religii, nie pytał się o to ks. Arcybiskupa, — natomiast gdy się zdarzy jaka sztucznie sfabrykowana petycya o niemieckie kazanie, rząd ją popiera wszelkimi środkami, których tak wiele ma do dyspozycyi. Z jednej więc strony ograniczanie praw, a z drugiej — nacisk. Ksiądz podejrzany o to, że nie zaparł się patryotycznych tradycyi, jakiemi zapisało się w historyi naszego kraju polskie duchowieństwo — toć to wobec państwa pruskiego omal że nie zbrodniarz, omal że nie przestępca, tem gorszy, że kodeks nie

daje możności postawienia go narówni z nieposłusznym lub niespełniającym swych obowiązków urzędnikiem.

Bo pruska racya stanu każe, aby kapłan był niczem innem, jak tylko urzędnikiem państwowym, podwładnym wprawdzie odmiennej zwierzchności, ale w rezultacie te same spełniającym funkcye na polu duszpasterstwa, co germanizujący nauczyciel w szkole, — co wszechwładny reprezentant państwowej powagi — policyant — w życiu publicznem.

I gdyby to zależeć miało jedynie od rządu, to każdy kapłan katolicki musiałby za pierwszy obowiązek swój uważać zachęcanie do przejęcia się niemczyzną w szkole, urzędzie, w życiu publicznem i prywatnem.

Nasz ksiądz, jak by go sobie życzyły miarodajne sfery berlińskie, powinienby używać całej powagi swej kapłańskiej godności, aby ludowi polskiemu wytłomaczyć, że polskie kazania są zbyteczne, bo słuchanie niemieckich jest tem przyjemniejsze Panu Bogu, im mniej się je rozumie; powinienby odradzać urządzania jakichś tam wieców polskich, powinienby znać dobrze w swej parafii „agitatorów polskich“ i znaleść sposób ich poskromienia; powinienby rozdawać dzieciom elementarze niemieckie, książki z obrazkami, przedstawiającemi Bismarka we wszystkich możliwych pozycyach, — jednem słowem — powinienby się stać podobnym do pewnego proboszcza w międzyrzeczko-babimojskim okręgu, który — jak wiadomo — tytułuje się *„Leutnant a. D.“* a potem dopiero *Pfarrer:* najpierw władza państwowa, a potem dopiero Bóg, msza, obowiązki duchowne.

A że tą drogą wyprzysiężenia się obowiązków swej narodowości duchowieństwo polskie iść nie chce, więc następują procesy, śledzenie, niezatwierdzanie nominacyi itd.

Jakież trudności otwierają się wobec tego przed każdym *naszym* kapłanem!

Ileż to ofiar, ile prawdziwego zapału, zaparcia siebie potrzeba, aby w dzisiajszych czasach, nosząc duchowną sukienkę, nie dać się zepchnąć prądowi politycznemu do rzędu pionków, a pozostać obywatelem kraju patryotą-Polakiem — *i po za granicami kościoła!*

Tak więc widzimy, jak niemal z dniem każdym zacieśnia się coraz bardziej zakres społeczno-narodowej działalności kapłana polskiego, — widzimy, jak z dniem każdym coraz to silniejsze ataki uderzają w polskiego kapłana, dlatego, że jest polskim, a niechce być beznarodowościowym. Ataki te i najlepszym i najczystszym sercom mogą wpoić zwątpienie.

Społeczeństwo powinno zdawać sobie dobrze sprawę z tych trudności położenia naszego duchowieństwa. Ono nie powinno od duchowieństwa żądać zbyt wielkich usług w zakresie społeczno-politycznym, lecz powinno z wdzięcznem sercem przyjmować zacne czyny jednostek, które są ozdobą całego stanu.

Sytuacya się coraz bardziej zmienia. Niedawno jeszcze rozbrzmiewały głosy w secesyonistycznym obozie, że „duchowieństwo zanadto się miesza do kierownictwa spraw społecznych i narodowych“; dziś w tym samym obozie słyszymy głosy, żądające, aby księża nasi zajęli się wypełnieniem braków i luk wychowania szkoły pruskiej. Szybko, widać system pruski sparaliżował społeczno-narodową działalność duchowieństwa, a wobec ogółu polskiego postawił trudne zadanie — *pogodzenia się z tym nowym stanem rzeczy.*

Naszemu kapłanowi pozostaje coraz ciaśniejszy zakres pracy: kościół i ambona. Dzięki choć i za to, jeśli w przybytku Pana Zastępów nasz kapłan walczy dalej niezniechęcony — w obronie oświaty i prawdziwej cywilizacyi. Dlatego też nie wahamy się tych smutnych uwag „na czasie“ zakończyć westchnieniem, oby jak najwięcej Bóg dał nam tych kapłanów, co nie zbierają składek na pomniki pruskie, *lecz na ochronki dla biednych dzieci polskich;* — co nie szukają swej sławy w tem, aby ich rząd udekorował orderami, ale w tem, *aby polski lud miał do nich zaufanie,* jako do swych pasterzy, którzy swe życie dla niego poświęcić gotowi; — co nie hakatystom schlebiają przez należenie do związków wojackich i festynów na cześć wracających z Chin Prusaków, ale co *stają na czele naszych towarzystw, spółek i banków i kierują zarówno ekonomicznym jak umysłowym rozwojem;* — co nie o obiadach z dostojnikami państwowymi myślą, lecz o tem, *aby dzieci polskie miały dość elementarzy* i aby Pana Boga w ojczystym chwaliły języku....

Takich księży-Polaków oby Bóg nam zesłał jaknajwięcej, bo ich potrzeba wszędzie — nietylko w Księstwie, ale i na Górnym Ślązku, i na obczyźnie...

Vester.

Wpływ oświaty na obczyźnie.

Widzieliśmy z często ogłaszanych korespondencyi, jak poważne czynniki działają w kierunku germanizowania polskich wychodźców. Władza państwowa i władza kościelna zupełnie celowo i świadomie zdążają ku przekształceniu wychodźców na Niemców. Dodajmy do tego jeszcze cały szereg przyczyn naturalnych, wynikających z położenia wśród obcych, — a będziemy mieli całokształt wpływów germanizujących z przerażającą dokładnością i gruntownością. *„Przy pracy* jest najwięcej powodów do zgermanizowania się“, pisze jeden z wychodźców, odpowiadając na zapytanie, jakie czynniki zdaniem jego największy wywierają wpływ w kierunku germanizacyjnym. I w istocie, że ani władza państwowa, ani duchowieństwo niemieckie nie jest w stanie tak głęboko wszczepić germanizacyi, jak obcowanie z niemieckimi robotnikami, stosunek do pracodawcy i względy, nakazane przez walkę o byt, która stawia niejako za warunek powodzenia przejęcie się duchem tego obcego otoczenia.

Wspomniany powyżej korespondent, przebywający już długie lata na obczyźnie, pisze nam dalej:

„Widzę trzy typy Polaka zniemczonego. Pierwszy typ — to Polak, który już się do polskości swej nie przyznaje, po polsku nie mówi, wobec kwestyi polskiej w stosunku do Niemców jest obojętny. Drugi typ — to Polak, który choć się przyznaje do swej narodowości, jednak patrzy na stosunki w kraju rodzinnym, na jego przeszłość i przyszłość przez niemieckie okulary: taki Polak wśród aplauzu niemieckich współkolegów wyszydza niższość kultury polskiej, — twierdzi, że dopiero wśród Niemców poznał prawdziwe życie i prawdziwą kulturę, i sądzi, że germanizacya byłaby dla Polaków najzbawienniejszym procesem historycznym, rozwięzującym sprawę polską w korzystny dla obydwóch stron sposób.

Trzeci typ — to Polak, który wprawdzie ożenił się z Niemką i dzieci wychowuje na Niemców, ale dla kraju zachowuje przywiązanie: do takiego trafi nieraz i gazeta polska, i książka w ojczystym języku jest w stanie go rozczulić.

Stykanie się z rodakami nieraz ból mu sprawia. Są to charaktery najczęściej zamknięte w sobie, milczące, tające gdzieś na dnie duszy żrący ból i poczucie zmarnowanego bezpowrotnie życia. Takich, co szczęściem całego życia okupują ożenek z Niemką, jest bardzo dużo. Jeśli w nich nie zagasło zawczasu poczucie narodowości, to pod maską zewnętrznego spokoju zawsze w nich tkwi jakiś tragizm. Znam szewca, który z pozoru jest Niemcem, ale dopiero gdy się upije, staje się nagle „dobrym“ Polakiem, wspomina z rozrzewnieniem swój kraj ojczysty i śpiewa narodowe piosenki.“

Obok wielkiej liczby tych poddających się germanizacyi wychodźców, są inni, co świadomie walczą przeciw niej i narodowość swą starają się zachować.

Lecz i na tych wyciska germanizacya swe piętno.

Widzimy, jak wszystko sprzysięgło się niemal, aby doprowadzić polskiego wychodźcę do utraty narodowości. Widzimy, że szereg naturalnych warunków, jak rozrzucenie pojedyńczo wśród obcych, styczność z nimi przy pracy, potrzeba używania obcego języka ze względów zarobkowych, małżeństwa z Niemkami, germanizacya przez księży i władze rządowe — to wszystko dąży w jednym i tym samym kierunku — wynaradawiającym.

Wobec tej ze wszystkich stron prącej na wychodźców fali germanizacyjnej — towarzystwa polskie oznaczają pewne zapory. Jak wykazaliśmy już poprzednio, procent małżeństw mięszanych jest wśród członków towarzystw bardzo mały. — Świadczy to wymownie o dobrym wpływie tych organizacyi na zachowanie narodowości. Silniejszą atoli zaporą jest oświata przez książkę i gazetę. Znajdują też dostęp do wychodźców i polskie gazety, Widzieliśmy masę przykładów, że znaczny procent wychodźców przyzwyczaił się do czytania gazet polskich dopiero na obczyźnie. Do bardzo ciekawych wniosków uprawnia szacunkowa statystyka gazet polskich, które czytają wychodźcy w Niemczech, pozwala ona bowiem do pewnego stopnia robić przypuszczenia co do ich zapatrywań politycznych i społecznych.

Grupa pierwsza konserwatywno-klerykalna:

„Wiarus Polski“, wychodzący w Westfalii (w Bochum), podający wiadomości z towarzystw oraz ploteczki bieżącej doby, z odcieniem klerykalno-konserwatywnym dla dość niewybrednych czytelników, ogółem zapewne ze 4 tys. egz.

„Wielkopolanin“, wychodzący w Poznaniu, redagowany bardzo popularnie, z odcieniem konserwatywnym, ma wśród wychodźców do 2 tys. czytelników.

„Katolik“ i *„Dziennik Śląski“* tego samego kierunku — na wychodźtwie — 1 tys. czytel. Razem 7 tysięcy czytel.

Grupa druga narodowo-radykalna:

„Praca“, tygodnik z Poznania, liczy na wychodźtwie do 4-ech tysięcy abonentów.

„Goniec Wielkopolski“ (z Poznania) — 1 tysiąc.

„Gazeta Grudziądzka“ (z Prus Zachodnich) — 1 tysiąc.

„Dziennik Berliński“ — 1 i pół tysiąca.

Razem: przeszło 7 tysięcy.

Grupa trzecia secesyonistyczno-antyszlachecka, antyklerykalna:

„Orędownik“ (Poznań) 300 egz.

„Postęp“ (Poznań) 400.

„Gazeta Narodowa“ (Poznań) 300 egz.

Razem około 1 tysiąca.

Grupa czwarta: mieszana, składa się z pism, które w małej ilości przychodzą („Gazeta Ostrowska“, „Gazeta Toruńska“, „Codzienna“, „Lech“, „Gdańska“, „Gazeta robotnicza“ i kilka innych), ogółem — około 1 tysiąca.

Ogółem zatem liczba gazet polskich, które dziś czyta półmilionowe wychodźtwo polskie, wynosi około 16 tysięcy. Jest to liczba niezmiernie mała, zwłaszcza jeśli się zważy, że same towarzystwa otrzymują z tej liczby przynajmniej 2 tysiące egzemplarzy.

Widzimy z tego, jak bardzo potrzeba naszemu wychodźtwu energicznej pracy nad szerzeniem pism polskich.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Na tropie Hakaty.

Zapewne niejeden już zastanawiał się, czyby nie była możliwa jakaśkolwiek nie powiemy: zgoda — ale sposób wspólnego pożycia z niemiecką ludnością. Zawsze jednak przyjść trzeba do wniosku, że takiego sposobu być nie może, hakatyści bowiem w wyrafinowany sposób podburzają opinię publiczną Niemczech przeciwko ludności polskiej.

Otrzymaliśmy dwie korespondencye, opisujące działalność urzędowego agitatora hakatystycznego dr. v. Bovenschena z Berlina.

Pierwsza pochodzi z Hamburga, druga z Wrocławia. Obie opisują wykłady tego pana.

Oto sprawozdanie z odczytu w Hamburgu:

Słuchaczów miał stosunkowo mało, mimo licznych poprzednich ogłoszeń. Wyraził nawet żal swój, że więcej robotników się nie stawiło, bo ci właśnie byliby się ciekawych rzeczy dowiedzieli. Namyślałem się, czy sprawozdanie z tego posiedzenia do naszych pism posłać lub nie, zdawało mi się, że to za wielki honor dla hakatysty, by jego czcze perory w porządnej polskiej gazecie się ukazały, ale z drugiej strony przypomniałem sobie, że pszczoła siada i sok zbiera nietylko na lilii, ale także na niemile woniejących kwiatkach, tak samo my możemy naukę i korzyść wyciągnąć nawet z wywodów hakatysty.

O rozbiorze Polski zaśpiewał zwykłą piosenkę: taki nieład, nieporządek był w Polsce, że o własnych siłach Polska z tego stanu nigdyby się nie podniosła, dlatego sąsiednie trzy państwa uważały za swój *obowiązek* Polskę między siebie podzielić. (Państwa te mogły pilnować swoich interesów, ale nie miały żadnego prawa mieszać się do spraw wewnętrznych Polski. Z konstytucyą 3-go maja dotądby była Polska istniała, ale te są-

siednie państwa nie dozwoliły konstytucyi w życie wprowadzić).

Rząd jak najłagodniej z początku obchodził się z Polakami w nadziei, że ich łagodnością ugłaska, pozyska, ale wnet się przekonał, że jest w błędzie i widział się zmuszonym zmienić swą taktykę. — W czasie powstania w 1846—48 roku lud polski cały dla Prusaków był lojalny (najoczywistszy fałsz historyczny). Na jakiemś zebraniu chłopów w czasie powstania zjawił się szlachcic polski i wezwał obecnych do broni przeciw Niemcom, do broni dla odzyskania wolności. Na to (jak opow. dokt.) najstarszy z wieśniaków obnażył plecy zorane knutem i odezwał się z goryczą: oto wasze dobrodziejstwa i wasza wolnosć. Broń Boże, żeby dawne czasy i wasze panowanie miało wrócić. (Były, co prawda, wypadki, że niektórzy ze szlachty niesprawiedliwi i surowi byli dla ludu, ale doktorze, skoro czytasz po polsku, przeczytaj Sienkiewicza Krzyżaków, a dowiesz się, jak Niemcy obchodzili się z tym samym ludem sobie podległym.) W dalsze nieprawdziwe twierdzenia nie warto się zapuszczać. —

Druga korespondencya pochodzi z Wrocławia i brzmi jak następuje:

Dnia ... miało Towarzystwo hakatystyczne wrocławskiego „Ostmarkvereinu“ posiedzenie, na które pan major v. Tiedemann-Seeheim przybył z Berlina. Sala była prawie cała napełniona, a mianowicie młodzi w zebraniu uczestniczyli. Tiedemann wygłosił mowę, dziękując i akademikom za przybycie i oddając w ich rękę dalszą walkę z polskim żywiołem, albowiem my starsi, jak prelegent mówił, prędko się z tego usuniemy. Pan Tiedemann biadał nad tem, że Prusy tyle razy politykę co do Polski zmieniały, a że porzucono politykę Flottwella, napełniało to biedaka piołunem i goryczą. „Gdyby się jego trzymano, i gdyby systematycznie plany Flottwella wykonywano, nie byłoby po 30 latach ani jednego Polaka w zaborze pruskim,“ Naszym obowiązkiem, wołał p. Tiedemann, jest dzisiaj zrobić język niemiecki w Poznańskiem, i w Zachodnich Prusach i na G. Śląsku językiem krajowym! Tymczasem, panowie, ciągnął mówca, co się dzieje? Oto Poznańskie jest gniazdem polskości i wydziera nam Niemcom nasz drogi ukochany G. Śląsk!! Agitatorzy z Poznania buntują pruski lud (on to mówi o polskim ludzie! Red.) wspierani przez Królestwo Polskie i Galicyę. Złemu można zapobiedz, jeśli każdy Niemiec weźmie udział w naszej walce, bo do dziś dnia jeszcze bardzo mało uczyniono, a rząd sam zrobić nic nie może.

Polacy chcą niepodległej Polski, przez co są winni zdrady stanu. Nie możemy więc mówić: „Tak, biedni Polacy kraj swój stracili, nie można im się dziwić i za złe brać, że chcą być wolnymi!“ Nie, żadnemu Niemcowi tak myśleć nie wolno, bo dobrodziejstwa, które Polacy od podziału Polski, aż do obecnej chwili od nas dostają są bardzo wielkie (np. bicie dzieci we Wrześni — jedno z ostatnich. Red.), a do tego już przed podziałem Polski niemieccy rzemieślnicy byli w Polsce błogosławieństwem kraju. Rząd i kościoły protestanckie zakładał (aha! Red.) i niósł kulturę na Wschód, dzisiaj więc wolno nam protestować przeciw żądaniu Polaków i nie dozwolić do powstania państwa polskiego w rzeszy niemieckiej. Dawniej było nam jeszcze wiele lepiej walczyć z nimi, bo szlachta tylko miała uświadomienie narodowe, lecz dzisiaj drugi okropny i gorszy wróg dla nas powstał. Wrogiem tym jest średni stan polski w Poznaniu i po miasteczkach poznańskich. (Krzyki na sali: „Bardzo dobrze!“) Mianowicie ma Poznań zamożny i doskonały stan średni, którego ani w Galicyi, ani w Królestwie nie ma. Stan średni w Poznaniu składa się z uciekinierów i zdrajców niemieckiego obozu. Już nazwy niemieckie polskich patryotów świadczą o tem, iż w nich krew niemiecka płynie, a mieszanka dwóch plemion zwykle jest bardzo dobra ze względów ekonomicznych, przez co się stało, że Polacy owi są pracowici i miłują porządek. Innym znowu wrogiem państwa jest duchowieństwo polskie. Księża polscy są zagorzali fanatycy, przez nich utworzył się kościół narodowo-polski, odróżniający się wielce od kościoła rzymsko-katolickiego dla wszystkich narodów. Ksiądz Polak wpaja w lud, że Matka Boska była Polką (?!) i że jest Królową korony Polskiej, toż samo Pan Jezus i że tylko modlitwa polska jest Bogu miła, a niemiecka jest grzechem śmiertelnym. Nawet tak daleko polscy fanatycy postępują, że żądają w Westfalii, w sercu Niemiec, księży Polaków, a księdza Niemca nienawidzą. Oburzającem jest więc, iż centrum frakcya silna w parlamencie, dążenia Polaków propaguje. Gazety centrowe, jak „Kölnische Volkszeitung“ są przepełnione artykułami przyjaznemi dla Polaków, a nam rzucają obelgę w oczy, że chcemy rząd poboczny w Prusach stworzyć, chcąc nas skompromitować w oczach rządu. Wprawdzie ma centrum Niemców patryotów w swem gronie, ale ci nie mają odwagi Polakom walkę wytoczyć, naszem zadaniem jest więc rządowi zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, grożące krajowi ze strony Polaków.

Polacy tymczasowo mówią, że hakatysta zjada na śniadanie jednego Polaka („Jeder Hakatist verzehrt einen Polen zum Frühstück“, oto są słowa p. Tiedemanna). My przecież nie prześladujemy Polaków, lecz staramy się tylko o to, aby nas Polacy ciągle nie prześladowali, lecz opinia o nas jest wręcz przeciwna. Nawet Niemiec, pewien staruszek, zarzucał mi, że my prześladujemy Polaków, a centrum zarzuca nam, że chcemy Polakom wiarę wydrzeć, lecz *„Ostmarkverein“* był i będzie w kwestyi religijnej zawsze neutralny. Księża katoliccy polonizują przeciwnie dzieci niemieckie już od 10 roku, dziwimy się więc, jak centrum Polakom sprzyjać może, oddając im 500 000 Niemców katolików na spolonizowanie. Mimo to są Polacy dla centrum niewdzięczni, czy to przy wyborach, czy też przy innej okazyi. Polak na Niemca katolika głosu nie odda, uważając go za swego wroga skrytego, przed którym się bardziej strzedz trzeba jak przed jawnym nieprzyjacielem.

Sprawozdania z powyższych zebrań hakatystycznych jaskrawo oświetlają robotę hakatystów; powinny one być dla Polaków tem większą zachętą do paraliżowania ich intryg za pomocą usilnej pracy. *Ordon.*

Z dziejów kulturkampfu.

II.

Walka rządu pruskiego z władzą arcybiskupią w sprawie polskiego wykładu religii była niejako przedwstępną próbą, w której przeciwnicy zmierzyli swe siły: rząd napotkał u arcybiskupa Ledóchowskiego więcej energii i siły do walki niż jej się bezwątpienia spodziewał; nie powstrzymało to go jednak od dalszych kroków na drodze, którą sobie wytknął.

W Berlinie prąd szedł coraz dalej. Nie wystarczyły już środki i obostrzenia administracyjne — rząd postanowił przeprowadzić swe plany w drodze ustawodawczej. Zatarg o naukę religii stał się tylko epizodem pomiędzy starciami, w jakie obfitował rok 1873. Posłuszny skinieniem żelaznego kanclerza sejm pruski uchwalił w maju (11-go, 12-go, 13-go i 14-go) prawa t. zw. „majowe“ „o kształceniu duchownych“, „o kościelnej władzy dyscyplinarnej i ustanowieniu królewskiego trybunału dla spraw kościelnych“, „o granicach praw i używaniu kar kościelnych i środków dyscyplinarnych“, „o wystąpieniu z kościoła.“

Paragraf I prawa z 12 maja opiewał, że kościelna władza dyscyplinarna może być wykonywana tylko przez niemieckie władze duchowne. Znaczące to postanowienie miało nazawsze wytrącić arcybiskupowi gnieźnieńsko-poznańskiemu najniebezpieczniejszą broń z ręki, jakiej działania już doznał rząd w sprawie wy-

kładu religii: prawa nakładania kar kościelnych.

Zaledwie zostały uchwalone prawa majowe, a rząd niezwłocznie zabrał się do zastosowania ich w praktyce. Na podstawie prawa o kształceniu duchownych zamknięto seminarye duchowne w Gnieźnie i w Poznaniu. Arcybiskupowi wytoczono proces o obsadzenie probostwa w Wieleniu bez zgody rządu i o rozesłanie na parafie 30 młodych, świeżo wyświęconych księży. Na arcybiskupa, sądzonego zaocznie, w krótkim czasie spada szereg kar pieniężnych. Arcybiskup płacenia ich, jako bezprawnych, odmawia. Następują egzekucye — bezowocne, po egzekucyach i obłożeniu aresztem ruchomości — groźba kary więziennej w razie niezapłacenia kar pieniężnych.

Rząd niezachwianie posuwał się naprzód po obranej drodze walki z katolicyzmem: za jednym zamachem postanowiono zadać decydujący cios i polskiej hierarchii duchownej, i przełamać opór katolików wogóle zapomocą bezwzględnego zastosowania zasady supremacyi państwa wobec duchowieństwa — do arcybiskupa Ledóchowskiego.

Naczelny prezes prowincyi, Günther, wystosował dnia 24 listopada 1873 roku urzędowe wezwanie do arcybiskupa, aby „ze względu na systematyczny opór stawiany rządowi“ zdecydował się złożyć urząd arcybiskupi. Wezwanie to zawierało również groźbę, że „jeśli arcybiskup w ciągu tygodnia nie nadeszle odpowiedniego oświadczenia“, to on, prezes, będzie „zmuszony wnieść o złożenie z urzędu arcybiskupa“ u nowoutworzonego trybunału dyscyplinarnego dla spraw kościelnych.

Na to dał arcybiskup odpowiedź prezesowi, że „żaden trybunał państwowy nie może zadekretować złożenia go z urzędu, ponieważ swój urząd biskupi wraz z prawami i obowiązkami otrzymał od Boga za pośrednictwem jego widomego zastępcy.“ Dobrowolnego złożenia urzędu tembardziej arcybiskup odmówił, że, według słów jego chwila ta była chwilą „w której jego wiernym grozi niebezpieczeństwo, że staną się łupem niewiary, herezyi i schizmy.“

Sprawa poszła dalej swoim torem: nowo utworzony państwowy trybunał dyscyplinarny dla spraw kościelnych niebawem zajął się rozpatrzeniem wniosku naczelnego prezesa prowincyi poznańskiej „o złożenie arcybiskupa Ledóchowskiego z urzędu.“

Zanim jednak mogło nastąpić ogłoszenia jakiegokolwiek dekretu, rząd pruski postanowił inaczej. — Dnia 3-go lutego 1874 roku, pod pozorem niezapłacenia kar pieniężnych, na jakie arcybiskup był skazany, prezes policyi poznańskiej Staudy, pomiędzy 3 cią a 4-tą rano aresztował ks. arcybiskupa Ledóchowskiego i odstawił do więzienia w Ostrowie. W tem samem więzieniu siedziało wówczas kilku złodziei, skazanych za kradzież drzewa. Arcybiskupowi przeznaczono jedną zwykłą bieloną wapnem celkę więzienną, a w sąsiadującej z nią celce urządzono prowizoryczny ołtarzyk dla odprawiania mszy.

Aresztowanie arcybiskupa Ledóchowskiego i osadzenie go w więzieniu ostrowskiem najzupełniej chybiło celu: duchowieństwo polskie niewzruszenie trwało przy sztandarze niczem niezachwianego posłuszeństwa swej zwierzchności.

Niezwłocznie po aresztowaniu ks. arcybiskupa, biskup-sufragan X. Janiszewski powiadomił dyecezyan okólnikiem o aresztowaniu arcybiskupa. Zarząd archidyecezyi przeszedł w ręce oficyałów zgodnie z rozkazem dostojnego więźnia. Żadnego rozprzężenia w hierarchii duchownej, na które liczył rząd, nie było.

Uwięzienie arcybiskupa Ledóchowskiego naturalnie głośnem się odbiło echem przedewszystkiem wśród społeczeństwa katolickiego w Niemczech, które — jakkolwiek w tych rozmiarach, co polskie, kulturkampfem dotknięte nie było — musiało jednak uważać społeczeństwo polskie za najbardziej w walce z rządem wysuniętą awangardę.

Te zapatrywania bezwątpienia kierowały biskupami pruskimi, gdy z powodu aresztowania arcybiskupa Ledóchowskiego wydali gremialny list pasterski, dając wskazówki swym dyecezyanom, jak się należy zachowywać w tym czasie ucisku kościoła. Krótko po ogłoszeniu tego listu aresztowano biskupa trewirskiego Eberharda.

Sprawujący rządy archidyecezyi oficyałowie przesłali Papieżowi Piusowi IX obszerne sprawozdanie o aresztowaniu ks. Ledóchowskiego. Papież odpowiedział na nie, w gorących słowach podnosząc stałość i męstwo zwierzchnika archidyecezyi i zarządził prowizoryum w administrowaniu archidyecezyą.

Walka coraz bardziej się zaostrzała. Nie próżnował też i trybunał dyscyplinarny dla spraw duchownych. Dnia 15 kwietnia 1874 wydano „wyrok“ składadający arcybiskupa ze stolicy i zawezwano kapitułę do wybrania sobie administratora dyecezyi.

Obie kapituły, a za niemi całe duchowieństwo, oświadczyło otwarcie i stanowczo, że nie może nikogo innego uznać za swego duchownego prawowitego zwierzchnika, jak tylko arcybiskupa Ledóchowskiego.

Polscy członkowie obradującego podówczas sejmu prowincyonalnego udali się przy tej okazyi zbiorowo do ks. biskupa Janiszewskiego, aby mu wyrazić w imieniu polskiej ludności uznanie i niezłomną wierność. Papież Pius IX ozdobił purpurą kardynalską więźnia ostrowskiego.

Rząd, idąc konsekwentnie dalej i chcąc za jakąbądź cenę pozbawić dyecezyę głowy, nie zawahał się niezwłocznie aresztować biskupa Janiszewskiego. Osadzony w więzieniu biskup-sufragan 18 miesięcy w więzieniu w Koźminie przesiedział, potem na wolność wypuszczony, następnie znów więziony i z granic państwa wydalony, na wygnaniu życia dokończył.

Lecz rząd i tem aresztowaniem celu nie dopiął. Stolica Apostolska zarząd dyecezyi powierzyła w ręce delegata, którego nazwisko w największej trzymane było tajemnicy.

Po księdzu biskupie Janiszewskim kolej przyszła okupić więzieniem przeszkadzanie planom Bismarka na księdza Wojciechowskiego, ks. biskupa Cybichowskiego, ks. kanonika Kurowskiego. Władze rządowe gorliwie poszukiwały tajemnego delegata stolicy apostolskiej, aby go uwięzić, — a w czasie tych poszukiwań więziono bez ceregieli wszystkich księży, na których czy to ze względu na ich popularność, dostojeństwa kościelne lub niechęć ku Prusom padało najmniejsze podejrzenie, że w ich rękach spoczywa zarząd archidyecezyi. Policya odbywała formalne łowy i pościgi, aby jaknajwięcej księży, kryjących się nieraz wprost po lasach i stodołach, wytropić i w więzieniu osadzić. Siedział w więzieniu: ks. Koźmian, ks. biskup Likowski, ks. Kessler, ks. Pawłowski, 40 dziekanów, i kilkunastu proboszczów. Rewizye i aresztowania były na porządku dziennym; konfiskaty majątków kościelnych, egzekucye, przymusowe kary pieniężne należały do „łagodniejszych środków.“

Machina ustawodawcza, będąc posłusznem narzędziem w rękach Bismarka, również raz po raz dorzucała jakieś dalsze prawo antikościelne do dawnych, już istniejących. Pomimo uporczywej opozycyi, w której posłowie polscy Czarliński, Jażdżewski, Wierzbiński żywy brali udział, przeszło prawo „o zarządzie wakujących biskupstw.“ Dawne prawa o obsadzaniu posad duchownych obostrzono. Nowe wybory w r. 1874 nie złamały -- pomimo całego nacisku rządu — stronnictwa katolicko-niemieckiego w parlamencie, owszem wzrosło ono do 89 głosów. Sam Bismark wniósł do Rady Związkowej projekt banicyi duchownych, aby go zastosować do opornych względem państwa kapłanów.

Lecz rząd przeliczył się bardzo, sądząc, że potrafi wśród niższego duchowieństwa znaleść posłuszne narzędzie swych planów, otwierając przed niem pers-

pektywę wysokich dostojeństw i poparcia państwa.

W całem Księstwie Poznańskiem znalazło się zaledwie ośmiu księży, którzy zdecydowali się działać w duchu państwowym i przyjąć parafie od rządu. Po wygnaniu lub uwięzieniu prawowitych proboszczów zaczął rząd tych rządowych proboszczów („Staatspfarrer“) osadzać na osieroconych parafiach.

Aby luki powstałe przez więzienie lub wygnanie proboszczów zapełnić, ze swej strony i władza duchowna poczyniła odpowiednie kroki. W Pradze i w Innsbrucku wyświęcono cały zastęp młodych kleryków na księży i powierzono im opiekę nad opuszczonemi parafiami. Księża ci, zwani majowymi, ze szczególną zaciekłością poszukiwani byli przez policyę i więzieni. Los taki spotkał ks. dr. Kanteckiego, ks. W. Szajkowskiego, ks. Cieślińskiego, ks. Jankego i wielu innych.

Naturalnie prześladowanie rozciągało się nie tylko na duchowieństwo, ale ogarnęło i prasę polską, tak iż wszyscy prawie redaktorowie gazet polskich ówczesnych siedzieli w więzieniu; zakony i klasztory pozamykano i dobra klasztorne pozabierano. W wir walki, kar i prześladowań dostali się liczni obywatele świeccy, mianowicie wskutek zajść, spowodowanych w rozmaitych parafiach przez osadzenie rządowych proboszczów.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Proces przeciwko akademikom polskim.

Całoroczne wrzaski owej sfory hakatystycznych dziennikarzy, skrzętne rewizye policyjne, przesłuchy i śledztwa sądowe, na niebywałą zarządzane miarę, poprzedziły rozpoczętą w czwartek rozprawę przeciwko młodzieży polskiej przed trybunałem karnym w Poznaniu. Po takich podługowatych przygotowaniach należało się spodziewać ostatecznego wyjaśnienia i udowodnienia wielkiego jakiego politycznego występku, okropnej zbrodni stanu, rewolucyjnego sprzysiężenia w arcygroźnym charakterze. Tymczasem, ku wielkiej pewnie żałości polakożerców, którzy już ostrzyli sobie zęby na „gefundenes Fressen“ i przepłukiwali sobie zawczasu gardła piwem, ażeby zawyć złowrogo na „polnische Wühlarbeit“, — wynik rozpraw, przerwanych dla niedostatku dowodowego materyału, okazuje się jak dotąd bardzo marnym.

„Straszliwych winowajców“ stanąć miało w zeszły czwartek przed trybunałem trzynastu, a mianowicie pp. 1) referendaryusz sądowy Franciszek Karaś z Leszna, 2) doktor prawa Jan Kowalczyk z Wrocławia, 3) lekarz Celestyn Rydlewski z Berlina, 4) aptekarz Leon Sumiński z Poznania, 5) technik Milewicz z Coethen, 6) technik Bronisław Steinmetz z Coethen, 7) technik Maurycy Dziewulski z Coethen, 8) słuchacz nauk przyrodniczych Konstanty Janicki z Freiburga, 9) kandydat medycyny Ignacy Trepiński z Berlina, 10) kandydat medycyny Feliks Biały z Lipska, 11) kandydat medycyny Bronisław Szulczewski z Lipska, 12) technik Zygmunt Rączkowski z Karlsruhe i 13) inżynier Stefan Natanson z Charlottenburga. Z tej liczby oskarżonych stawiło się tylko pięciu: pp. Karaś, Kowalczyk, Rydlewski, Sumiński i Trapiński. Rozprawom przewodniczył dyrektor sądu ziemiańskiego, dr. Felsmann; jako oskarżyciel występował prokurator Stammer. Napływ publiczności do sądu początkowo był wielki, wpuszczano zaś do sali tylko za biletami.

Zaraz na wstępie obrońcy pp. mec. Chrzanowski, Seyda i dr. Celichowski słuszny podnieśli zarzut, iż akt oskarżenia, obejmujący 58 stron gęsto zapisanych, zbyt późno im doręczono i zażądali odroczenia rozpraw celem należytego przygotowania obrony. Gdy na przeciwny wniosek prokuratora trybunał do żądania tego się nie przychylił, mec. Seyda złożył obronę.

Po odczytaniu aktu oskarżenia mec. dr. Celichowski zażądał wyjaśnienia ścisłego, jaki właściwie czyn karygodny, ściśle określony, stanowić ma winę i przedmiot oskarżenia. W akcie mowa tylko o przynależeniu podsądnych do tajnych stowarzyszeń, a chcąc oskarżać trzeba jasno zaznaczyć, do których towarzystw należąc, obżałowani wykroczyli przeciwko prawu. Trybunał naradziwszy się, wymienił wreszcie dwa towarzystwa, których obżałowani byli członkami, ale które istniały *jawnie*, mianowicie: wrocławską „Concordią“ i gryfijską „Adelfią.“ Na zasadzie tak ważnego, dopiero w terminie samym, dopełnienia aktu oskarżenia, obrońcy zażądali ponownie odroczenia sprawy, ale i teraz daremnie.

Akt oskarżenia przeciwko wszystkim podsądnym snuje się w około zarzutu, że byli członkami Towarzystw jawnych, które należały rzekomo do 2-ch tajnych związków i to: 1) „Zjednoczenia Towarzystw młodzieży polskiej za granicą“ i 2) Związku Towarzystw młodzieży w Niemczech.“ Do „*Zjednoczenia*“ należało podług aktu oskarżenia 8 Towarzystw i to: dwa w Darmstacie, a po jednem w Brunświku, Wrocławiu, Karlsruhe, Mittweidzie, Monachium i Gryfii.

Do „*Związku* Towarzystw młodzieży w Niemczech“ należało 10 Towarzystw i to w Berlinie dwa (techniczne i naukowe), a po jednem w Coethen, Halli, Illmenau, Karlsruhe, Lipsku, Mittweidzie, Monachium i Wrocławiu. Naczelnym punktem programu „Zjednoczenia“ było „utrwalenie jedności i spojni wśród młodzieży, ułatwienie bytu i zadań poszczególnym Towarzystwom i samopomoc w kształceniu jednostki do przyszłej obywatelskiej działalności.“ Podobnie też „Związek Towarzystw“ postawił sobie za zadanie: „budzenie umysłowego życia w poszczególnych Towarzystwach, utrwalenie solidarności i pracę nad oświatą ludu.“ Z tego wynika, że ani „Zjednoczenie“, ani też „Związek“ nie miał na celu ani zbrojnego jakiegoś ruchu, ani też przewrotowych jakich knowań, podlegających karze, i że o wiele mniej polityczne zarysował sobie pole działania, niż niemiecka młodzież akademicka, urządzająca zjazdy i kongresy hakatystyczne z bardzo wydatnem znamieniem podburzającem, zaostrzonem przeciwko Polakom. O wiele też szlachetniej i chwalebniej brzmi ów program młodzieży polskiej, niż brzęk mnogich kufli wśród pijanych wrzasków młodzieży niemieckiej i biesiad uświetnianych śmiesznie uroczystym „salamandrem.“

A jeśli dla lepszego spełnienia uczciwego programu akademicy zalecali sobie pewną dyskrecyą i pracę skrytą, tajną — to doprawdy okoliczność ta nie ich tyle, co dzisiajsze stosunki wraz z systematem, wrogim polskości, obwinia. Smutne to, że tak poczciwa i moralna praca młodzieży ukrywać się woli przed okiem władz, obawiając się utrudnienia i szykan. Całoroczne szukanie obciążającego materyału, mogącego karygodność jakokolwiek uzasadnić, wydało rezultat taki, że oto znaleziono w mieszkaniach kilku akademików już to ową nieszczęsną broszurę „Rapperswyl“, wydaną przez p. Leitgebra z Ostrowa, zawierającą rzeczy wielkie o małym „Skarbie narodowym“, już to „Odezwę Centralnego komitetu Ligi narodowej“, nadesłaną z zagranicy w większej ilości do Niemiec, a wskazującą na „Niepodległość Polski“ jako ostateczny cel narodowo-polskich dążeń, już też zapiski o „*kongresach*“, jak je nazwał p. radzca Zacher, a w rzeczy samej o szczupłych liczebnie *zjazdach*, urządzanych przez „Zjednoczenia“ lub też przez „Związek.“ Ale przecież ani posiadanie broszury „Rapperswyl“, ani „kongresowe“ odezwy, ani — co najważniejsze — żaden z zapisków nie zdołają uzasadnić fantastycznego podejrzenia, iż młodzież knowała coś, coby dowodziło buntu przeciwko władzom państwa pruskiego lub cesarstwa niemieckiego.

Rozwałkowany, jak ciasto na makaron, cały materyał oskarżenia, nie dowodzi też w niczem przewrotowych knowań na owych „kongresach“, które

„Zjednoczenie“ i „Związek“ istotnie urządzał. I tych narad przedmiotem była praca nad własnem umysłowem wyrobieniem i ludu oświatą w duchu i dla dobra narodu.

Może się mylimy, ale zdaje nam się, iż w toku trzydniowych rozpraw niejeden z sędziów rozgrzeszył w swej duszy rzekomych „winowajców“, a niezawodnie każdy ma to głębokie przeświadczenie, że w pracy młodzieży naszej nie było ani źdźbła dążeń rozkładowych przeciwko państwu niemieckiemu, a były raczej budujące dążenia na rzecz rozwoju umysłowego i moralnego Polaków.

Wśród wrażeń, jakie tok rozpraw przed trybunałem karnym sprawiał, najmniej przyjemną była rola radzcy Zachera, jako jedynego świadka obciążającego, a zarazem rzeczoznawcy. To rzeczoznawstwo podchwycił dowcipnie p. mec. Chrzanowski, zapytując, na co właściwie p. Zacher ma być rzeczoznawcą i wprawiając trybunał w pewne zakłopotanie. Wprawdzie prokurator p. Stammer odparł po namyśle, że się dopiero w dalszym toku wykaże zastosowanie rzeczoznawstwa p. Zachera, ale i ów dalszy tok nie dostarczył w tym względzie należytego uzasadnienia. Przeciwnie, właśnie w dalszym ciągu powstały bardzo poważne wątpliwości co do dokumentów dostarczonych w tłomaczeniu przez rzeczoznawcę p. Zachera. Oto obrońcy pp. Chrzanowski i Seyda, przeglądając akt oskarżenia, zauważyli, iż p. radzca Zacher dokumenty w bardzo ważnych miejscach fałszywie przetłomaczył, że „dążności *polskich socyalistów*“ przełożył na dążności *Polaków*“, że „socyalno-demokratyczne“ skórczyło się w tłomaczeniu na „demokratyczne, że ze skromnego „zjazdu“ zrobił się całą gębą „kongres“, że zamiast „Vereinu“ zawierało tłomaczenie wyraz „Verband“, a „służenie dobrą radą“ przeistoczyło się na „Ausweg“. Z pomocą przeto obrońców i tłomacza zaprzysiężonego, p. Dalskiego, poprawki w tłomaczeniu p. Zachera okazały się niezbędnemi.

Gdy ani dokumenty, ani wyjaśnienia „głównego świadka“, ani wreszcie zeznania oskarżonych nie złożyły się razem na wyjaśnienie takie, jakiego sprawa koniecznie wymagała, a obrońcy stawili wniosek o przesłuchanie jako świadków: sędziwego pułkownika Miłkowskiego i akademika Bolewskiego z Zurychu na dowód, że obżałowani ani wprost, ani przez „Związek“ lub „Zjednoczenie“ z „Ligą narodową“ styczności nie mieli i że o statutach obu tych ciał nie byli nawet poinformowani, — trybunał postanowił przesłuchać obu zaproponowanych świadków i uchwalił w trzecim dniu rozpraw odroczenie procesu na czas nieokreślony.

Takim oto jest tymczasowy rezultat dowodowy całorocznych śledztw, dociekań, kombinacyi i domysłów dla wyświecenia karygodności ruchu umysłowego i budującej pracy moralnej wśród polskiej młodzieży akademickiej!

Noster.

Wiece polskie na obczyźnie.

I.

Wielki wiec górniczy w Gelsenkirchen, odbył się dnia 29 czerwca. Górnicy Polacy ze wszystkich miejscowości, a nawet z daleka przybyli, aby posłuchać referatu w sprawach górniczych. Liczba uczestników przechodziła liczbę 800. Pierwszym referentem był p. Wilkowski z Schoenebecku. Następnie przemawiali: pp. Ant. Brejski z Bochum, Skraburski z Ueckendorfu, Mich. Maliński z Ueckendorfu i wielu innych.

Zaznaczyć tu muszę na pochwałę „Związku,“ że zaprosił starszego knapszaftowego p. Grześkowiaka z Bruchu, który też wiecownikom wytłomaczył ustawy knapszaftu i przyrzekł służyć radą i wskazówkami, za co serdeczne dzięki p. Grużkowiakowi się należą. Rodacy powinni „Związek“ czynnie popierać, boć 50 fen. składki to nie wielki pieniądz. Wiec odbył się w najlepszym spokoju, wzorowym porządku a pieśnią się zakończył. Do „Związku“ wstąpiła spora liczba rodaków. Na tym wiecu wybrano komisyą górniczą, która ma się zająć wyłącznie sprawami górniczemi.

Szczęść więc Boże tej pracy dla dobra polskich górników! Na wniosek p. Wilkowskiego z Schoenebeku była przeczytana petycya do ministra handlu Müllera.

II.

Wiec przedwyborczy w Oberhausen, odbył się w święto Piotra i Pawła po południu o godz. 5-tej.

Wiec zagaił prezes komitetu powiatowego p. Fr. Kordylasiński, który powołał na przewodniczącego p. Wojczyńskiego prezesa komitetu głównego (centralnego), który przodownictwo przyjął, powołał rodaków do solidarności i zarazem objaśnił w jakim celu wiec się odbywa. Pan Ant. Brejski przemówił parę słów, objaśniając, że powinnością naszą jest brać udział w głosowaniu, nie wyraził jednak ze swej strony zapatrywania, aby mu nie zarzucono, że on tylko lud podburza przeciw centrum. Mówcy jak panowie St. Krzyżański, Rególski z Duisburga, Szolz z Oberhausen, Kubicki z Oberhausen, Kordylasiński z Oberhausen, i wielu innych oświadczyli się przeciw centrum, powołując się na artykuł ogłoszony w „Pracy“.

Jeden z mówców przedstawił rodakom działalność centrum i stwierdził, że po śmierci ś. p. Windthorsta już centrum nie jest tem czem dawniej było; krytykował tę partyą, radził na swego głosować, ale nigdy na Niemca w pierwszych wyborach nie głosować. Mówił tenże mówca o sprawie opieki duchownej jak to Niemcy, gdy chodzi o głosy polskie, to i księży polskich mogą choćby z Polski sprowadzać, jak to w r. 1898 zrobili, ale tak to ich nie sprowadzą. — Zachęcił wreszcie do głosowania na swego. Ks. Lambertz brał w obronę Niemców t. j. centrum i każdemu prawie mówcy odpowiadał. Wiec zakończył się uchwaleniem kandydatury polskiej.

Wiecownik.

Z TYGODNIA.

Berlin stanowczo niema szczęścia do burmistrzów. Od lat przeszło pięciu, to jest od czasu usunięcia się burmistrza Zelle rząd raz za razem nie potwierdza burmistrzów na ich posadach. Burmistrz Kirschner musiał coś trzy lata czekać, aż go potwierdzono, jego zastępca Brinkmann nawet jednego miesiąca nie sprawował urzędu, gdy nagle zmarł, a gdy teraz jego następcą wybrano radnego miejskiego Kauffmanna — rząd stanowczo odmówił mu zatwierdzenia.

Afera ta robi ogromne wrażenie w Berlinie, ponieważ pierwotnie Kauffmann przedstawiony został cesarzowi przez radę ministrów, a potwierdzenia nie dostał od cesarza dlatego, że z powodu swych wolnomyślnych przekonań przed 20 laty dostał dymisyę jako oficer gwardyi w rezerwie.

Rada miejska w Berlinie podobno postanowiła raczej dopuścić do komisorycznego zarządu niż ustąpić z prawa wyboru Kauffmanna.

Kanclerz Rzeszy, hr. Bülow, zapewne w zamiarze przejednania wolnomyślnych posłów na wypadek wysokich ceł na zboże, zamierza zgodzić się na zmianę konstytucyi o tyle, aby posłom do parlamentu płacić dyety dzienne. Lecz i tu potwierdzenie cesarskie podobno jest tak wątpliwe, że położenie hr. Bülowa byłoby zachwiane, gdyby mu się nie udało swego cesarza nakłonić do projektu, który jedynie mógłby nakłonić parlament do zgodzenia się na wysokie cła zbożowe.

Jakeśmy to już kilkakrotnie zauwa-

żyli, system pruski powoli zmierza ku wywołaniu kulturkampfu. Do rozmaitych naszych redakcyi donoszą, że w licznych miejscowościach naszych księży szpiegują, czy uczą dzieci polskie? Podobno ksiądz arcybiskup zdecydował się stanowczo ująć się za prawami kościoła i władze świeckie, o ile przekraczają swe atrybucye, powołać do porządku. Burmistrz w Dobrzycy, który naszedł kościół z żandarmem, aby wykonać niedozwoloną rewizyę, ma być oddany w ręce sądu. Ksiądz arcypasterz wystosował w tej sprawie energiczny protest do Berlina, równocześnie zaś pojawił się komunikat, żeby nasi księża bez wahania dalej zajmowali się nauką dzieci polskich, gdyż władzy pruskiej wara od naszych kościołów. —

W pismach rosyjskich pojawiły się niezmiernie interesujące artykuły o tem, w jakim stopniu germanizacya się szerzy w guberniach Królestwa Polskiego. Cyfry odnośne są istotnie przerażające, W gubernii piotrkowskiej osiadło tylu Niemców, że tam *co dziesiąty* człowiek jest Niemcem. W Radomskiem co jedenasty, a w Płockiem co dwudziesty — jest Niemcem. Cały szereg kolonii niemieckiej przygotowuje cały teren tej inwazyi germańskiej w samo serce Polski.

Prąd antigermański zapewne wybuchnął teraz w Rosyi z wielką siłą, skoro nawet służebnica niemiecka, gazeta pana Gringmuta „Moskiewskie Wiedomosti“ uderzyła na alarm, wykazując, że wszystko, co po roku 1863 zrobiono dla wytępienia Polaków, a wzmocnienia w ziemiach naszych rosyjskiego żywiołu, wyszło wyłącznie na korzyść germanizacyi. Wedle cyfr, zebranych przez ten dziennik, w Kaliskiem osiadło Niemców 42 razy więcej niż Rosyan, w Piotrkowskiem 54 razy więcej, a we wszystkich dziewiętnastu guberniach na zachód od Dniepru jest, razem licząc, dwa razy tyle Niemców, co Rosyan, a byłoby niezawodnie tych ostatnich jeszcze mniej, gdyby rząd nie darowywał im skonfiskowanych Polakom majątków. Przytoczywszy te cyfry, „M. Wiedm.“ piszą:

„Trzydziestoletnie wysiłki nasze, aby zrosyanizować zachodnie kresy, dały zupełnie niespodziewany rezultat: mieliśmy polski kraj, a teraz mamy polsko-niemiecki, rosyjskiego zaś jak nie było, tak nie ma. Cała Rosya, cała potęga rządowa walczyła z intrygą polsko-katolicką, a oto cichaczem wsunęła się kwestya o wiele niebezpieczniejsza: na pograniczu wyrósł nowy czynnik polityczny: milionowy zastęp Niemców, opartych o swój potężny Vaterland i z nim złączony nierozerwalnie. W żadnem państwie nie mogłoby się stać nic podobnego.

„Bo pomyślmy tylko, że miejscowa ludność z głodu, z nędzy wynosi się za morza, tułacze życie pędzi, szukając czarnego kawałka chleba, przepada dla państwa jako siła wojskowa i jako siła robocza, a natomiast ludzie obcy, nieżyczliwi, przychodzą, rozsiadają się, tuczą, już się czują panami kraju, zaczynają brać za gardło miejscową ludność i zmieniać ją w robocze bydło. A na domiar tego — jaka perspektywa polityczna! jakie niebezpieczeństwo dla całości państwa!“

Polacy mają jedno dobre przysłowie, które tu można przytoczyć: „Jak sobie pościelesz tak się wyśpisz...“ Cóż dziwnego, że dziś Rosya spać nie może spokojnie, jeśli sobie chciała usłać posłanie na grzbietach kolonistów niemieckich?

K. O.

Przegląd prasy polskiej.

Ostatni tydzień obfitym był w głosy pism naszych, które z pewnością zaciekawią Czytelników „Pracy.“ Mianowicie z powodu naszego artykułu o wyborach w Nadrenii wywiązała się żywa wymiana zdań pomiędzy pismami polskiemi. Ponieważ nasze zdanie w tej sprawie jest znane, poprzestajemy na przytoczeniu interesujących urywków z pism innych, pozostawiając Czytelnikowi samemu sformułowanie zdania o każdym z tych głosów. Z góry jednak już notujemy z przyjemnością fakt, że wymiana zdań odbyła się w formach, przyjętych pomiędzy pismami, które chcą stać na gruncie koleżeńskich stosunków. Jest to okoliczność, z której tembardziej się trzeba cieszyć, im bardziej brak jej w naszem życiu publicznem uczuć się dawał.

Pismem, które najdalej posunęło się w kierunku przyjaznym centrowcom był **„Kuryer Poznański“**, jakkolwiek i ten wypowiedział się nie bez zastrzeżeń.

„Niezaprzeczenie ludność polska w dystryktach fabrycznych Westfalii ma prawo domagać się polskich duszpasterzy. Ale stanowczo twierdzimy, że zaspokojenie tego wymagania nie leży bynajmniej w kompetencyi centrum. Zależy ono jedynie od władzy duchownej, o której wiemy, że dokłada wszelkich starań, by istniejącemu brakowi zaradzić. Że starania te nie zawsze pomyślnym uwieńczone są skutkiem, że po prostu ludność polska w Westfalii rośnie szybciej jak nadwyżka kapłanów polskich, ponad normalny status personału duchownego w dzielnicach wschodnich, jest to poprostu trudność elementarna, na którą, ani centrum ani nikt poradzić nie może. U nas samych, w Księstwie, kapłanów mamy zaledwie wystarczającą liczbę, a niedawnemi są czasy, gdy całe parafie polsko-katolickie były zupełnie osierocone. Kilkakrotnie już w bieżącym roku na to w piśmie naszem zwracaliśmy uwagę. Władze duchowne czynią co mogą, ale cudów od nich także wymagać trudno.

„Polacy nadreńscy wyrozumieć powinni te okoliczności i nie oddawać się złudnym nadziejom jakoby kompromis wyborczy w okręgu Duisburg-Mühlheim był kwestyą decydującą w sprawie polskiego duszpasterstwa w tych okolicach. Sprawa ta może przeciwnie stać się decydującą w kierunku ujemnym dla nas, jeżeli nierozważne poprowadzenie jej z naszej strony, osłabi stanowisko naszych przyjaciół a przeciwnie wzmocni argumenta tej części centrum, która twierdzi, że Polacy nie są dla centrum pewnymi sojusznikami i że zawiedli je już niejednokrotnie jak np. za czasów Capriviego.

„Niewątpliwie energiczniejsze ujęcie się za nami ze strony tak potężnego stronnictwa w państwie, byłoby nam Polakom pożądanem, ale pamiętajmy, że dziś może jedyną zaporę przeciwko prawom wyjątkowym we wschodnich dzielnicach stanowi właśnie świadomość wrogich nam czynników, że centrum na ustawy takie nie zezwoli.

„Nad Renem Polacy nie mogą przeprowadzić własnego kandydata, a mogą za to rozżalić na nas słusznie katolików niemieckich.

„Stawianie własnego kandydata ze strony Polaków równa się, choć z pewnością tego nie zamierzają, pomocy danej socyalistom i mniej lub więcej sprzymierzonym z nimi liberałom.

„Uświadomienie zaś narodowe naszych wychodźców przez samo głosowanie na polskiego kandydata wcale nie zyska. Umocni je raczej rozszerzanie dobrych polskich pism, kupienie się i łączenie w polskich stowarzyszeniach.“

Ponieważ w wywodach powyższych, prócz teoretycznych rozważań, jedno tylko konkretne stawiono twierdzenie, „że centrum nie ma kompetencyi do zaspokojenia słusznych żądań Polaków na polu opieki duchownej“ — pospieszamy zatem tu jako jedyną odpowiedź stwierdzić *fakt*, że przy przeszłych wyborach, gdy chodziło o zyskanie Polaków do głosowania, centrum bardzo łatwo postarało się na krótki przeciąg czasu i o kapłanów po polsku mówiących i o rozmaite ulgi na polu opieki duchownej: *ustały one, gdy Polacy na kilka lat stali się niepotrzebni;* centrum więc, gdy zechce, może się tą sprawą zająć. Kapłanów polskich też niebrak — świadczy o tem fakt, że ich trzeba *aż wypędzać z Westfalii*, jak to się kilkakrotnie stało, bo ich widocznie w oczach władzy duchowej było zadużo. — —

Trochę krytyczniej nasz sojusz z centrum i sprawę postawienia kandydatów Polaków ujął **„Dziennik Poznański.“** Zrobiwszy „pro forma“ szereg ukłonów centrowcom, kilka zastrzeżeń wobec „przemożnego dziś radykalizmu“ „Pracy“ i jej zwolenników — tak pisze:

„Skoro już kierunek radykalny istnieje i ma powody istnieć, nie powinniśmy mu brać za złe, że występuje z projektami trochę górnolotnemi. Najmniej zaś powodu do gniewu o to ma centrum.

„Wszak to za jego sprawą na terenie polskim i przeważnych interesów polskich, w wyborze do sejmu w okręgu tucholsko-chojnickim przeszedł konserwatysta Niemiec przez to, że centrum postawiło dwa razy osobnego kandydata swego, zamiast się zgodzić na kandydata

polskiego. A czy w okręgu leszczyńsko-wschowskim nie daliśmy centrum dobrowolnie i lojalnie kandydata niemieckiego bez walki?

„Nie widzimy zatem w tem nic karygodnego, że Polacy chcą policzyć swe siły i w tamtym odległym kraju, a dopiero, gdyby w powtórnym wyborze ściślejszym chcieli przyczynić się do przeprowadzenia kandydata nacyonał-liberalnego, musielibyśmy ich stanowczo powołać do porządku.

„W tej mierze więc polityka nasza jest lojalniejszą od polityki centrum.

„Przymierze naturalne z niem cenimy, wysoko i wcale też jeszcze nie widzimy, żeby z naszej strony było na szwank narażone. My nie schlebiamy kierunkowi radykalnemu, ale wobec danych, jakie radykalizm ma sobą w istnieniu hakatyzmu i mdłej opiece wielu władz duchowych, nie możemy go odsądzać od głosu w radzie powszechnej polityki polskiej.“

Bardzo zręcznie i trafnie ujął sprawę w wybornym artykule **„Dziennik Kujawski:“**

„Pojmujemy, że frakcya Centrum może być rozżaloną i rozczarowaną, widząc budzącą się samodzielność ludu polskiego, który nie chce już chodzić na jej pasku, wszelako żal nie będzie słusznym, bo nie ślubowaliśmy centrowcom posłuszeństwa, bo wiedzą oni lub wiedzieć powinni, że posiadamy nasze poszczególne sprawy polskie, nad którémi partya Ballestrema zamyka oczy. Żal centrowców przeto będzie żalem poszkodowanego ale nieuzasadnionym tem mniej, że Centrum postępowało wobec nas przy wyborach zupełnie tak samo.

„Dlatego, że Polacy nie mogą przeprowadzić własnego kandydata, powinni według „Kuryera“ iść cicho za głosem Centrum, zdawać się na jego łaskę i niełaskę, głosować, na kogo im głosować polecą. Zasada zupełnie fałszywa i zgubna, jak wiemy to już z dziejów naszych, a szczególnie z czasów Napoleońskich, gdy miasto sformować własny korpus polski i usługi swe oddać cesarzowi francuzkiemu tylko z wyraźnem zastrzeżeniem w zamian za pozytywne i zgodne z aspiracyami narodu korzyści — zdaliśmy zastępy dzielnych wojaków na łaskę Napoleona z tym rezultatem, że dostała nam się parodya Polski, Księztwo Warszawskie, a żołnierze nasi niby najemnicy na żołdzie tonęli w armii napoleońskiej, wysługiwali się zacną swą krwią i kości swe składali aż tam gdzieś zdala od kraju. w St. Domingo.

„Zasada ta, będąca znamieniem braku samodzielności, braku pewności siebie i dumy narodowej pokutowała zbyt długo w naszej polityce. Dlatego witamy z radości wyraźny objaw poczucia własnej godności oraz jasnego zrozumienia położenia, jakiego dostarcza nam wiec w Oberhausen. Głosując tam tylko warunkowo za kandydatem centrowców, Polacy dadzą im uczuć, że centrum jest zobowiązanem do popierania ich nietylko jako katolików, lecz także jako Polaków. W tym razie zdobędziemy sobie szacunek, stokroć więcej wart od owych sympatyi i uczuć przyjaznych, na których można budować jedynie jak — na lodzie. Wobec naszej czołobitności zaś centrum wyobrażałoby sobie, że popiera interesy Polaków z dobrej woli i pytanie nawet, czy popierałoby je w wypadkach, gdzie kwestya polskości wchodziła w grę.“

Szereg uwag, podnoszących zasadę, że *w pierwszem głosowaniu wszędzie i zawsze Polacy powinni głosować* tylko na Polaka, ogłosił **„Goniec Wielkopolski“**, (któremu zresztą nie powiodło się z artykułu cytowanego powyżej **Dzien. Pozn.“** odgadnąć trafnie, że „Dziennik“ nie jest wcale przeciwny postawieniu kandydata polskiego), a z pełnym politycznej finezyi artykułem w tej sprawie wystąpił **„Wielkopolanin:“**

„Artykuł „Pracy“ o stanowisku, jakie nasi rodacy mają zająć przy wyborach w okręgu Duisburg-Mühlheim, wywołał ożywioną dyskusyą w pismach niemieckich i polskich. — —

„Do pism czytywanych w kołach robotniczych i mieszczańskich należy też „Praca.“ Zdanie jej i opinia mogą zatem zaważyć na szali przy decydowaniu o kwestyi, jakie mają zająć stanowisko nasi wychodźcy w wyborach w okręgu w Duisburgu.

„Praca“ jest zdania, że nasi wychodźcy w pierwszym pochodzie mają głosować na własnego kandydata i w drugim dopiero pochodzie oddać swe głosy kandydatowi katolickiego centrum. — —

„Stosunek nasz do centrum znacznie się zmienił. Centrum w wielu razach zajmuje wobec nas stanowisko sojusznika słabego, zniewolonego czynić ustępstwa.

„Jest to stosunek bardzo niewygodny, ale wynikający z naszego położenia.

„Ten stosunek sprawia, że centrum niejednokrotnie przeceniło siłę swego stanowiska i bezwzględną konieczność naszą szukania oparcia o nie — i z tego właśnie, jakkolwiek i z innych względów, powstał ruch dążący do zmiany stosunku naszego do centrum.

„Centrum popełnia, zaniedbując sojusznika, błąd znaczny, bo znowu tak całkiem bezsilni nie jesteśmy i są chwile, gdzie centrum bardzo naszej pomocy potrzebować może.

„Mamy w ręku dwie pozycye bardzo dla centrum ważne: Slązk, obczyznę i kilka okręgów mieszanych.

„Dalsze zaniedbywanie sojusznika polskiego może doprowadzić do tego, że kwestya ślązka niezadługo dojrzeje i spadnie gotowa w nasze ręce.

„Znaczy to, że polski lud ślązki, niezadowolony z opieki dawanej im przez centrowców, powie: „Basta! Od dziś nasz ma nas bronić!“

„Drugą dosyć ważną dla centrowców kwestyą, jest kwestya wyborcza na obczyźnie. Dawniej uważano na obczyźnie za zupełnie naturalne, że polski i katolicki wychodźca oddawał głos na centrowca.

„I tam stosunki się zmieniły także z winy centrum. — —

„Do programu nad organizacyą w sobie i dla siebie bez względu na jakiebądź stosunki należy też stawianie własnych kandydatów przy wyborach.

„To stawianie własnych kandydatów przy wyborach jako część programu organizacyjnego w celu utrzymania bytu narodowego wśród naszych wychodźców uważamy za konieczne.

„Błędnym jednak ten krok byłby, gdyby stawiano kandydatów własnych w celu stworzenia przeciwieństwa do centrum.

„Pozornie wydaje się być to rozróżnianie sprawy obojętnem.

„Można bowiem powiedzieć, że sam fakt stawiania własnego kandydata tam, gdzie jest kandydat centrowy, tworzy przeciwieństwo.

„Wcale nie! Rozsądni centrowcy nie mogą nam odmówić tego prawa i nie mogą nam tego postępowania brać za złe, jeżeli wnikną w intencye, dlaczego tak czynimy.

„Centrum powinno pojąć, że przeciętny robotnik polski otoczony Niemcami, słabo politycznie uświadomiony, łatwo może zginąć nie tylko w morzu niemieckiem, lecz także w morzu protestanckiem, jeżeli nie znajdzie się sposobu rozbudzenia go od czasu do czasu.

„To rozbudzenie nastąpić może właśnie przy wyborach i przy stawianiu własnych kandydatów.“

Artykuł „Wielkopolanina“, któryśmy, niestety tylko w części przytoczyć mogli, należy bez wątpienia do najlepszych, jakie od dawna w tej sprawie były ogłoszone. —

Zamykając ten przegląd głosów prasy, nie możemy jednak uchylić się od zrobienia jednej uwagi, która gwałtem się nam ciśnie pod pióro: oto z tych artykułów wszystkich pism zauważyliśmy, że nasze polskie redakcye zwróciły uwagę na sprawę dopiero wtedy, gdy nasz artykuł o wyborach *i to w marnem tłomaczeniu* przeszedł przed wszystkie pisma niemieckie. Czyby nie było lepiej czerpać wprost ze źródła?

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

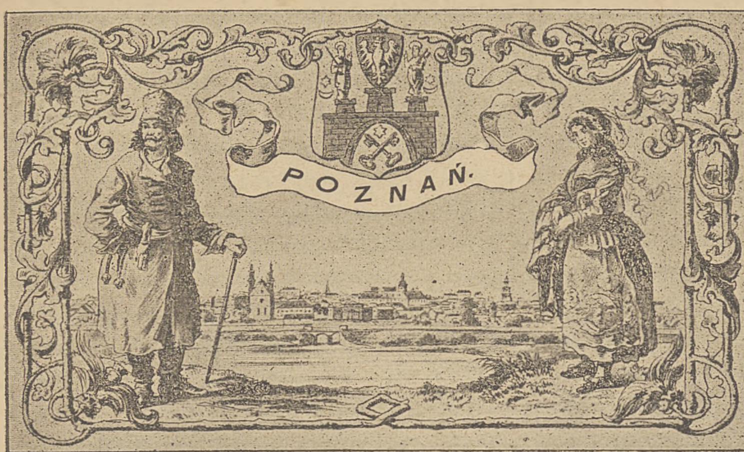
Altenbochum.

Szanowna Redakcyo „Pracy!“

Chcę parę słów napisać o Towarzystwie św. Józefa w Altenbochum. Na wspólnem święconem w drugie święto, każdy Polak tu mógł odetchnąć swojskiem powietrzem w gronie swoich rodaków. Dzięki za to Towarzystwu. Kilku członków wystąpiło z deklamacyą i jako pierwszy Franciszek Budzyński wygłosił: „W noc listopadową“ (wiersz z „Pracy“), potem zaś wystąpił pewien pan z Bochum, członek Towarzystwa św. Barbary. Takich nam kilku w Altenbochum potrzeba jak ów pan z Bochum. Ale niestety, Polacy są jeszcze bardzo obojętni na sprawy narodowe.

Potem wystąpił z deklamacyą pan Józef Kaczmarek z Hombruch i jego deklamacya o wychodźtwie każdemu się podobała, to też nie szczędzono mu oklasków. Potem mówił nasz prezes, Wojciech Grzegorski, który w gorących słowach zachęcał rodaków do Towarzystwa. Tu w Altenbochum, jak twierdził powinno być przynajmniej 300 członków a tu jest tylko 80 — to bardzo mało. Cieszy mnie to bardzo, żem dla pięciu zapisał „Pracę“ na ten kwartał a wszyscy są bardzo zadowoleni. Pozostaję stałym abonentem

Franciszek Budzyński.



Malowniczy opis Wielkopolski.

Rzut oka na życie umysłowe i ruch literacki w Poznaniu.

Zamykając szkice opisowe wielkopolskiej stolicy, które z natury rzeczy wyjątkowo dużo zajęły miejsca, poczytujemy za rzecz nieodzowną raz jeszcze spojrzeć we wnętrze Poznania, ale już jako w ognisko umysłowego życia. Wszakże ważnem jest uprzytomnić sobie, jaką rolę odegrał gród Przemysława w rozwoju cywilizacyjnym naszej Ojczyzny, wspomnieć szereg postaci wybitniejszych, których Poznań wydał, lub którzy w Poznaniu właśnie znaczną część swych sił i pracy narodowi poświęcili.

Ściślejsze, szczegółowe studya nad istotą cywilizacyjnego i umysłowego życia w Poznaniu nie odpowiadałyby ani ramom, ani też przeznaczeniu opisowej naszej pracy. Nam chodzić powinno raczej o pogląd ogólny tylko i przegląd tych mężów, którzy w zbiorowym cywilizacyjnym pochodzie nieśli tu właśnie oświaty pochodnie, oraz tych, którzy się odznaczyli w narodowej i społecznej organizacyi. Nie możemy się pochlubić, iżby Poznań we wszystkich epokach przodował całej Polsce pracą i poświęceniem dla dobra narodowej całości, ale to pewne, iż zawsze był jednem z najważniejszych środowisk umysłowego ruchu. Był nawet czas, po listopadowem powstaniu, że rozkwit piśmienniczy najbujniejszym z całej Polski był w Poznaniu i że tu właśnie po strasznych klęskach i pogromach dusza narodowa, że tu energia do pracy dla dobra Ojczyzny odzyskała najwcześniej należyte pokrzepienie i powróciła do równowagi. Niestety od połowy wieku ubiegłego dzielni i pełni zasług pracownicy poczęli schodzić z widowni, nie pozostawiając po sobie równej miary i w równej liczbie następców.

Polityka szybko pochłaniała najlepsze siły naszego społeczeństwa, życie literackie i naukowe w szerszem tych wyrazów znaczeniu coraz słabszem poczęło bić tentnem, ruch umysłowy popadł z biegiem czasu w dziennikarską płytkość i jednostronność, a ostatecznie wyrobiła się dla mężów głębszej nauki i umysłów bardziej twórczych atmosfera tak przygnębiająca, że celniejsze jednostki przenosiły się najchętniej do innych centrów życia literackiego, osobliwie do Warszawy, Krakowa i Lwowa.

Gdyby liczba pism peryodycznych i ich poczytność dawała bezwzględną miarę rozwoju oświaty i piśmiennictwa w pełnem znaczeniu, natenczas Poznań zajmowałby w całej Polsce pierwsze miejsce, gdyż w stosunku do liczby mieszkańców wykazuje największe cyfry czasopism i czytelników. W Poznaniu wychodzi 20 pism polskich, a w tej liczbie 8 codziennych („Dziennik Poznański“, „Kuryer Poznański“, „Goniec Wielkopolski“, „Orędownik“, „Wielkopolanin“, „Postęp“, „Przyjaciel Ludu“ i „Gazeta Narodowa“), 4 tygodniki („Praca“, „Ziemianin“, „Poradnik gospodarski“, „Przewodnik katolicki“), 3 miesięczniki („Nowiny lekarskie“, „Jutrzenka“ i „Poradnik dla Spółek“), a nadto jedno pismo („Głos polski“) wychodzące 2 razy tygodniowo. Ale rozrost liczebny czasopism jest bardzo jednostronnym objawem piśmienniczego rozkwitu.

Brak wszechnicy, o którego wypełnienie przez lat 60 daremnie się staraliśmy, coraz trudniejszy byt materyalny, a przedewszystkiem, ciężka i wyczerpująca walka z potężnym wrogiem naszej narodowości, wdzierającym się aż w progi domów polskich, — oto główne przyczyny zastoju w życiu umysłowem i ruchu literackim. Ale mimo to, gdy uczynimy całowiekowy przegląd mężów, którzy działając w Poznaniu, wyższe zasoby ducha swego, naukowe i twórcze, poświęcili i poświęcają dla duchowego dorobku całego narodu, możemy — bez zbytniego o sobie zarozumienia — powiedzieć, że stolica Wielkopolski, choć tak skrępowanej w naturalnym rozwoju, tak pognębionej i materyalnie wycieńczonej, dostarczyła przez ten czas dużo cenniejszych prac do zbiorowego skarbca piśmiennictwa i że dużo jej synów poczuwało się podług miary zasobniejszego uzdolnienia swego do obowiązku działać dla wiedzy, oświaty i rozwoju sił społecznych.

* * *

Jakkolwiek ślady pracy nad oświatą i rozwojem społecznym w Poznaniu znachodzi się w pierwszej zaraz epoce po przyjęciu chrześciaństwa, to jednak późniejsze dopiero wieki wykazują nam dość znaczne szeregi wybitniejszych mężów, którym kronika naszego miasta poczesne miejsce wśród „sławnych i uczonych“ przyznaje. Obfitsza ta w znamienitych obywateli era rozpoczyna się w stoleciu 16 tym. Na początku tegoż wieku upamiętnił się biskup *Jan Lubrański*, zakładając r. 1519 wyższą szkołę w Poznaniu, na wzór akademii krakowskiej, znaną pod nazwą „kollegium Lubrańskiego“. Pierwszym tegoż zakładu rektorem był Poznańczyk głębokiej nauki, *Tomasz Bederman*, który imię swoje zapisał w literaturze naszej, jako znakomity znawca greckiego i rzymskiego piśmiennictwa. Równą chlubą okrył imię swoje późniejszy nieco, a również w Poznaniu urodzony Jezuita *Mateusz Bembus*, który od r. 1587 wykładał w kollegium jezuickiem rozmaite nauki, a w licznych dziełach pozostawił świadectwo wielostronnej swej wiedzy. Jako kaznodzieja słynął Bembus tak, iż po Skardze przyznawano mu powszechnie pierwsze miejsce. Dalej wspominają kronikarze poznańscy jako uczonych wieku XVI lekarza *Jana Alberta Borka*, Jezuitę *Jana Brandta*, lekarza *Stanisława Chrościewskiego*, znakomitego teologa *Hieronima Ceraniusza*, Jezuitę *Stanisława Grodzickiego*, męża niezmiernej pracy i wielkiej wiedzy, *Piotra Lilię*, sławnego krasomówcę i uczonego *Tomasza Tretera*,

a przedewszystkiem prawdziwą chlubę dla polskiej nauki lekarskiej *Józefa Strusia*, urodzonego w r. 1510. Strusiowi zawdzięcza sztuka lekarska to, iż na podstawie głębszych dociekań, zastosował pierwszy badanie pulsu przy rozpoznawaniu chorób.

Z 17 wieku na szczególne wyróżnienie zasługuje znakomity teolog i prawnik, *Jan Markiewicz*, który niestety najpiękniejsze siły swoje stargał na długotrwałych utarczkach z Jezuitami.

Z nieuczonych wreszcie, ale słynnych czasu swego Poznańczyków, wspominamy jeszcze z 18 w. *Boromeusza Swierzawskiego*, po bardzo burzliwem życiu osiadł wreszcie w Warszawie i tam przyczynił się w niepośledniej mierze do założenia i powodzenia sceny polskiej.

* * *

Pod koniec 18 i na początku 19 stolecia zapanowała w Wielkopolsce i jej stolicy dziwna martwota i bezmyśl. Bywały momenty świadczące o takiem zaniku narodowego poczucia, że gdy na nie spoglądamy ze stoletniej przestrzeni, nie umiemy ich pogodzić z owemi bohaterskiemi walkami pod wodzą Kościuszki ani też z entuzyazmem, jaki poruszył naród cały nieco później, w chwili zwycięskiego na wschód pochodu Napoleona. Wszakże wkraczającego do Poznania na czele zaborczych pułków pruskich feldmarszałka Möllendorfa przyjmowano w r. 1793 z życzliwością, z wszelkiemi oznakami przyjaźni i zdawało się pozornie, iż społeczeństwo poznańskie wcale nie uczuwatego, że staje się zdobyczą obcego najezdzcy. jednak był to pozór tylko. Pod skorupą zobojętnienia przygotowywało się tłumione zewnętrznie nowe życie, a po listopadowem powstaniu pojawiła się na widowni poznańskiej cała plejada znakomitych mężów, którzy myślą, słowem i czynem poruszyli dzielnicę naszą tak, jak zapewne nigdy przedtem.

Po pamiętnym r. 1848, który nas tyle kosztował ofiar, życie umysłowe w Poznaniu, okraszone poprzednio pracą na różnych polach piśmiennictwa, słabnie, przekształca się i przy pomocy dziennikarstwa, przybiera charakter szeroko uorganizowanej plemiennej obrony i żywszych walk stronniczych. Na arenie ruchu narodowego mniej występuje mężów poświęcających się wyłącznie nauce i literaturze, a natomiast całe zastępy młodszego pokolenia, coraz dojrzalsze do obywatelskiej pracy, coraz bardziej z praktycznego stanowiska oceniające potrzeby społeczeństwa.

Z nieżyjących już mężów, którzy kronikę Poznania uświetnili w zeszłem stoleciu, zasłużyli sobie na pamięć naszą szczególnie następujący:

Tytus hr. Działyński,

(patrz rycinę w nr. 26 na str. 680.)

jeden z najznakomitszych obywateli Wielkopolski, syn wojewody Król. kongresowego, Franciszka Ksawerego, urodził się w Poznaniu r. 1797, umarł również w Poznaniu r. 1861. Można o nim rzec śmiało, że całe życie jego i mienie było w usługach Ojczyzny. Od r. 1810 kształcił się w Paryżu, z szczególnym zapałem oddając się naukom przyrodniczym i matematycznym; stopień profesora matematyki uzyskał w Pradze. Jako prawy syn Ojczyzny brał żywy udział w powstaniu listopadowem, którego następstwem było zasekwestrowanie dóbr przez rząd pruski. Od r. 1834 do 1842 był zniewolony wraz z zacną swą małżonką, z rodu Zamoyskich, przebywać w Galicyi, gdzie przez jakiś czas żyć im wypadło prawie w niedostatku. Dopiero po wygraniu procesu z rządem pruskim w r. 1842 powrócił do dóbr swych w Kórniku, ażeby tam błogą dla narodu rozwijać działalność i stać się gorliwym i hojnym opiekunem porówno nauki i piśmiennictwa, jako powierzonego ojcowskiej jego pieczy ludu. Literatura polska niezmiernie dużo zawdzięcza mu wydawnictw, na które nie szczędził ani pracy, ani funduszów. Najwięcej w zakresie wydawniczym zasłużył się publikacyą „Statutu litewskiego“ tj. zbioru praw od r. 1389 do 1529, a bardziej jeszcze wydaniem 9 tomowego dzieła „Acta Tomiciana“, stanowiącego nieprzebrany skarbiec wiadomości z epoki Zygmuntowskiej. Ś. p. Tytus hr. Działyński należał do założycieli „Towarzystwa Pomocy Naukowej“ i Spółki Bazarowej, był radzcą Tow. kredytowego ziemskiego, jednym z twórców i przez czas dłuższy prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, członkiem wielu Towarzystw naukowych krajowych i zagranicznych, członkiem pruskiej Izby panów i posłem sejmowym. Na wszystkich polach wielostronnej pracy ś. p. Tytusa hr. Działyńskiego jaśniały zawsze równym blaskiem zalety i cnoty jego charakteru: niezłomność narodowych przekonań, wzniosłość myśli, szlachetność zasad, a obok dystynkcyi umysłowej rzadka skromność. On, który tak dużo narodowi w spuściźnie zostawił, w przedmowię do pewnego cennego wydawnictwa pisze o sobie: „Wiem, iż okurzając z pyłu pomniki, stawiane zasługą naszych ojców, nie zapracuję sobie na literacką sławę, a jeszcze mniej na materyalne korzyści; ale właśnie ta pewność kołysze we mnie uczucie, iż daję, a nie biorę...“ Sam potomek wysokiego rodu, tak bardzo Ojczyźnie zasłużonego, nie kochał się w herbach, a zajmował się niemi nie tylko jako materyałem dziejowym; pisze bowiem do jednego z krewnych: „Mnie cała heraldyka pobudza do ckliwości, nie miło mi mieszkać w tym spróchniałym domu...“ Tak oto często właśnie wielcy synowie Ojczyzny małe o sobie mieli wyobrażenie.

Małżonka jego, Celestyna z hr. Zamoyskich, była jedną z najszlachetniejszych postaci niewieścich swego czasu, a upamiętniła imię swoje zacne porówno dobroczynnością, jak poświęceniem i bohaterskiem znoszeniem przeciwności. W pamięci ludu zapisała się szczególnie tem, że wyzwoliła (r. 1837—1840) swych poddanych, pozakładała dużo szkółek i ochronek, a ucząc sama dzieci biedne, gorliwie pracowała dla oświaty.

Karol Marcinkowski,

(patrz rycinę w nr. 26 na str. 684.)

o którego życiu i zasługach niespożytych dawniej już pisaliśmy, rozwinął obfitą w owoce działalność obywatelską współcześnie z Libeltem, historykiem Moraczewskim, dziejopisarzem Łukaszewiczem, pedagogiem i przemysłowcem Hipolitem Cegielskim i tylu innymi mężami, którzy tak świetną w Poznaniu i Wielkopolsce stworzyli epokę, jak nigdy poprzednio, ani też nigdy potem.

Lekarz znakomity, spostrzegacz bystry, wielki znawca potrzeb narodu, górował w swych poglądach nad współczesnymi pracownikami w Poznaniu, jednakiego z nim serca wprawdzie, ale przeważnie mniej zdolnych przenikać przyszłość społeczeństwa polskiego. Niezmiernego wpływu swego zużył na nieoceniony kraju pożytek, a jedno „Towarzystwo Pomocy Naukowej“ wspanialszym jest i trwalszym nad wszelkie ze śpiżu lub kamienia pomnikiem.

Bronisław Ferdynand Trentowski,

znany niegdyś na całą Wielkopolskę filozof poznański, autor kilku dzieł, czytanych i studyowanych swego czasu z żywem zainteresowaniem, należy w każdym razie wraz z Karolem Libeltem i Augustem hr. Cieszkowskim do najwybitniejszych przedstawicieli nauk filozoficznych w Polsce. Wyszedłszy po r. 1831 z kraju spędził długi czas w Niemczech i pisał początkowo po niemiecku, co mu wyrobiło niebawem stanowisko docenta w fakultecie filozoficznym uniwersytetu Freiburskiego (w Badenii.)

Ożywiony w rozmaitych kierunkach ruch umysłowy zwabił go do Poznania, gdzie swojemi pracami zasilał pisma peryodyczne i wydał szereg poważnych dzieł w polskim języku. Z tych „System pedagogiki narodowej“ i „Całokształt logiki narodowej“ ze względu na zastosowanie filozofii do pojęć polskich na szczególną zasługują uwagę.

Karól Libelt,

(patrz rycinę w nr. 26 na str. 683-ej.)

jako mąż nauki, publicysta, obywatel i pracownik dla oświaty narodu, niezmierne Wielkopolsce oddał zasługi. Należał on w czasie największego rozkwitu piśmiennictwa w Poznaniu do tych, którzy stanowili duszę społecznego życia. Podobnie jak Trentowski tak i on traktował filozofią nie tylko ze stanowiska międzynarodowego, lecz także w praktycznem do narodowych uczuć, myśli i potrzeb zastosowaniu. W dziełach „Filozofia wyobraźni“ i „Filozofia a krytyka“ przejawia się w szlachetnym swym charakterze główna myśl polskiego badacza. Osadzony r. 1847 w więzieniu w Moabicie patryota-filozof napisał rozprawę „Dziewica Orleańska“ dla uprzytomnienia narodowi tego, co tak pięknie wyraził w pomnikowej swej pracy „O miłości Ojczyzny“. Karól Libelt był jednym z mężów, którzy myślą, słowem i czynem niezmierny wpływ wywarli na rozwoju narodu, a szczególnie społeczeństwa polskiego. Ur. 1807 w Poznaniu, um. tamże r. 1875.

Hipolit Cegielski,

gramatyk, estetyk i przemysłowiec, urodził się we wsi Ławkach pod Trzemesznem, nauki gimnazyalne kończył w zakładzie św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, studya uniwersyteckie w Berlinie, a uzyskawszy tam stopień doktora filozofii, został nauczycielem języków starożytnych i literatury polskiej w gimnazyum poznańskiem. Rozprawami „O zasadach wychowania przy szkołach wyższych“, „O powstaniu mowy i szczególnych języków“, a nadewszystko „O słowie polskiem“ zapewnił sobie poczesne miejsce w szeregu zasłużonych pedagogów naszych. Bardzo dobrym też jest wydany przez niego zbiór najcelniejszych wzorów poezyi polskiej, przez długi czas używany w gimnazyach, później niestety wyparty przez systemat giermanizacyjny.

W obszernem wstępnem opracowaniu jako też w całym doborze poezyi złożył śp. H. Cegielski dowód niezaprzeczonych zalet estetycznych. Zniewolony skutkiem politycznych zaburzeń opuścić stanowisko nauczycielskie, przerzucił się na pole handlowo-przemysłowe, założył nasamprzód handel żelaza, a później, życzliwie popierany przez obywatelstwo, znaną fabrykę machin, która obecnie do nowego powraca rozkwitu. Od r. 1848—50 wydawał „Gazetę Polską“; w roku 1849 posłował w sejmie pruskim; nadto był członkiem Rady Miejskiej i wiceprezesem a później prezesem Towarzystwa Pomocy Naukowej im. dr. Marcinkowskiego. Był to dzielny patryota, mąż silnej woli, skrzętnej i wielostronnej pracy, a wielką zasługą jego obok prac piśmienniczych było przełamanie przesądów przestarzałych, które uniemożliwiały wszelki rozwój tak ważnych w życiu społeczeństw czynników, jak handel i przemysł.

Profesor Marceli Motty,

długoletni profesor gimnazyum św. Maryi Magdaleny, a później Szkoły Realnej, nadto kierownik żeńskiego zakładu naukowego pp. Danysz, ur. dnia 5 czerwca 1818 w Poznaniu, tu ukończył w zakładzie św. Maryi Magdaleny nauki średnie i tu też spędził przeważną część życia swego po studyach, odbytych w Berlinie i w Paryżu i po pierwszych latach nauczycielskiej pracy w Międzyrzeczu. Udział w ruchu rewolucyjnym w r. 1846 pozbawił go stanowiska nauczyciela gimnazyalnego, które odzyskał następnie dopiero w Poznaniu r. 1849. Ś. p. prof. Motty był mężem rozleglej nauki, a szczególnie biegły w literaturze starożytnej, z której to wiele dzieł przyswoił naszej literaturze w dobrych przekładach. Jako publicysta szczególnie się zaznaczył feljetonami w „Dzienniku Poznańskim“ zamieszczonemi pod tytułem „Listów Wojtusia“ i „Przechadzek po mieście“. Na niwie narodowo-społecznej pracował z wielkiem poświęceniem wspólnie z mężami równie jak on wielkiego dla Ojczyzny serca: Hipolitem Cegielskim, Libeltem, Bentkowskim i innymi.

Ryszard Wincenty Berwiński,

poeta wielkopolski, ogromnego talentu, ur. w Polwicy r. 1819, umarł w Konstantynopolu r. 1879. Z niespokojnego, burzliwego życia zapisać należy, iż nauki średnie rozpoczęte w Lesznie, kilkakrotnie przerywane, ukończył w Wrocławiu i tu też uczęszczał przez pierwszych lat 3 do uniwersytetu, a następnie przeniósł się do Berlina. Natura namiętna, żywa, ognista i niepochamowawana pognała go niestety na tory, na których gubią się nawet najświetniejsze talenty. Ale nawet w tej spuściźnie poetyckiej, która nie odpowiada ani potrzebom naszego narodu, ani zdrowemu smakowi, jaśnieje w pełnym blasku niezmierna zdolność wyobraźni, piękność języka i łatwość rymotwórcza. Poematy swoje zamieszczał przeważnie w niewychodzącym dziś już tygodniku „Przyjacielu Ludu“ i w „Tygodniku Literackim.“ W wielu utworach wydanych zbiorowo w r. 1844 przypomina pod niejednym względem nieśmiertelnego Adama, szczególnie w „Księgach świata i złudzeń.“ W późniejszej „Księdze życia i śmierci“ popada w niechęć, gorycz i pesymizm, które stargały do reszty ten bujny umysł, napsuty już w salonach poznańskich. W r. 1852 posłował Berwiński do sejmu w Berlinie, ale i w tem zaszczytnem zadaniu nie znalazłszy uspokojenia i właściwego kierunku życia, pojechał do Paryża, stamtąd do Konstantynopola, a następnie, jako oficer pułku dragonów włóczył się po rozmaitych kątach Turcyi. Uległszy nałogowi pijaństwa, zmarł w szpitalu....

August hr. Cieszkowski,

(patrz rycinę w nr. 26 na str. 683-ej.)

jeden z największych myślicieli polskich, głośny filozof i ekonomista, autor wielu dzieł po polsku, po niemiecku i po francuzku napisanych, urodził się 1814 r. jako potomek zamożnej szlachty podlaskiej, umarł w Poznaniu 1894 r. Naukę gimnazyalną odbywał w Warszawie na Lesznie, wyróżniając się z pośród rówieśników niezwykłą głębokością, bystrością i powagą umysłu. Do studyów wyższych wybrał uniwersytet berliński i tam zapoznał się gruntownie z zasadami wielkiego filozofa niemieckiego Hegla, po którego śmierci właśnie najgorliwszy uczeń jego, Michelet, zajął katedrę w uniwersytecie. Z pierwszych zaraz prac ogłoszonych przez śp. Cieszkowskiego wynika, że jakkolwiek uznawał Hegla za potęgę nauki i myśli, to jednak sam sobie stworzył kierunek samodzielny z teoryami heglowskiemi częstokroć niezgodny. Najznakomitsze swe dzieło „O kredycie i obiegu kapitału“ ogłosił w Paryżu r. 1839, powszechną na siebie zwracając uwagę świata uczonego. Filozoficzne poglądy swoje rozwinął hr. C. głównie w trzech rozprawach, zatytułowanych „Prolegomena do historyozofii“, „Ojcze nasz“ i „Drogi ducha“. W zakresie nauki ekonomii zasłynął wykładem swoim „O polepszeniu położenia robotników wiejskich,“ w którym oprócz ochronek wiejskich, dbałości o zdrowie i pieczy nad robotnikami w podeszłym wieku, zalecał dopuszczenie porówno oficyalistów jak robotników do udziału w zyskach z gospodarstwa.

Gdy w r. 1849 rozpisano wybory do sejmu pruskiego, C. został posłem, a rozum, powaga i szlachetność w postępowaniu sprawiały, że niejednokrotnie wybierano go prezesem Koła Polskiego. Hr. C. należał też do grona założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu w r. 1857, był pierwszym jego prezesem aż do r. 1867 i aż do zgonu jego chlubą.

Jan hr. Działyński,

syn ś. p. Tytusa i Celestyny z Zamoyskich ur. r. 1829 w Kórniku, umarł tamże dnia 30 marca 1880. Nauki gimnazyalne ukończył w zakładzie św. Maryi Magdaleny w Poznaniu w r. 1848,

a natchniony żywą miłością Ojczyzny i obywatelskiem poczuciem wziął czynny udział w powstaniu, poświęcając na potrzeby ruchu rewolucyjnego znaczną część swego mienia. W nieszczęśliwej bitwie pod Książem r. 1848 stał w szeregach walczących. Po ukończeniu powstania słuchał prawa przy wszechnicy berlińskiej, a następnie w Paryżu nauk ścisłych, osobliwie matematyki. Z szczególnem zamiłowaniem oddawał się studyom zastosowania tejże wiedzy w mechanice praktycznej. W rozwoju nauk matematycznych u nas działalność ś. p. Jana hr. Dz. stanowi epokę; kilkanaście tomów poważnych dzieł matematycznej treści, wydanych nakładem „Biblioteki Kórnickiej“ — to jego zasługa. Nadto dzięki



Jan hr. Działyński.

jego ofiarności ukazało się mnóstwo dzieł, mających wartość już to ze względu na dawniejsze dzieje naszego narodu, już też na piśmienniczy nasz dorobek. Za świetnym ojca wzorem brał czynny udział w licznych naszych pracach społecznych, objawiając wszędzie doskonałe zrozumienie naszych potrzeb narodowych. Małżeństwo jego z ś. p. Izabellą ks. Czartoryską w r. 1857, było bezpotomnem. Żal ogarnął społeczeństwo wielkopolskie, gdy w marcu r. 1880 złamano tarczę herbową nad trumną jego, ostatniego z rodu zasłużonego Działyńskich. Dobra kórnickie z bogatemi zbiorami przeszły w dziedzictwo jego siostrzeńca, Władysława hr. Zamoyskiego.

Franciszek Dobrowolski,

naczelny redaktor „Dziennika Poznańskiego“, dzielny organizator i zasłużony szermierz w walce z giermanizacyą, jakkolwiek z Kongresówki rodem, to jednak długoletnią patryotyczną swą pracą tak się zrósł z Poznaniem, iż pisząc o wielkopolskiej stolicy pominąć tej wybitnej postaci nie można.

Rzadko kto z obywateli naszych tak wielostronną jak on rozwinął działalność. Będąc kierownikiem najpoważniejszego wówczas pisma w Poznaniu, umiał znaleźć w sobie taki zasób sił, ażeby jednocześnie pełnić funkcye dyrektora teatru, organizować kolonie feryjne, współpracować w dyrekcyi „Towarzystwa Pomocy Naukowej“, w zarządzie „Czytelni Ludowych“, a nadto jeszcze mniej lub więcej żywy brać udział w rozmaitych innych towarzystwach, którym było potrzeba jego ducha.

Ś. p. Dobrowolski jako literat, jako stylista nie celował, ale miał inne niezmiernie cenne zalety obywatelskie: gorące serce dla narodu, zapał do spraw ojczystych, chęć do pracy, energią i wytrwałość. Ztąd też po zgonie jego przez długi czas uczuwało społeczeństwo nasze ubytek wielkiej pracowniczej siły na wielu od razu posterunkach. Zmarł w Poznaniu r. 1895.

Kazimierz Jarochowski

z rzędu znakomitszych historyków polskich, gruntowny znawca czasów saskich, dzielny publicysta i prawnik, urodził się w Poznaniu r. 1828 i tu umarł r. 1888. Liczne jego prace historyczne zjednały mu sławę w całej Polsce, a pełne argumentacyjnej siły artykuły zamieszczane w różnych czasopismach, regularnie zaś w „Dzienniku Poznańskim“ sprawiły, że zaliczono go w poczet najpoważniejszych publicystów polskich. Z powołania prawnik, porzucił wcześnie stanowisko sędziowskie, jakie piastował w Poznaniu, gdy systemat antypolski rozpościerał dla Polaków duszną atmosferę we wszystkich dykasteryach urzędniczych.

Z dziedziny historyi literatury pozostawił po sobie cenną pracę pod tytułem: „Zarys literatury poznańskiej w pierwszej połowie bieżącego stolecia.“ Jako obywatel prawością charakteru, gorącą miłością Ojczyzny i trafnem rozpoznawaniem stosunków, zdobył sobie jedno z najpoważniejszych stanowisk.

Ks. dr. Antoni Kantecki,

mąż głębokiej nauki, rzadkich zdolności, wielkiego serca dla spraw ojczystych, urodził się we Wielowsi pod Ołobokiem w pow. Odalanowskim r. 1847, zmarł w Strzelnie jako tamtejszy proboszcz w r. 1893. Publicysta i organizator, jakich mało Polska wydała, ogromną w czasie walki kulturnej odegrał rolę, używając „złotoustej“ wymowy swej i wytrawnego pióra do tego, ażeby świetnie zjednoczyć siły do obrony narodowości i wiary. Potrzeba było wielkiej miłości Ojczyzny obok potężnych zalet ducha, ażeby tak, jak on, wywrzeć wpływ dodatni na sfery, w których interesy klerykalne nie zawsze godziły się ze sprawą narodowościową.

Tylko taki, jak on kapłan-patryota, mógł właśnie pogodzić skłócone ze sobą żywioły i sprowadzić wraz ze swoją niezmierną pracą inne także pracownicze siły pod mianownik narodowej obrony. Jako kapłan bronił spraw kościoła i wiary, jako Polak bronił ich tak, ażeby narodowość nasza żadnego nie ponosiła uszczerbku. Obszerna wiedza, rzadka bystrość umysłu, dobroć serca, fenomenalna pamięć i niezmierna łatwość wysłowiania, — to wielkie dary, któremi go Bóg uposażył, a które on składał szczodrze na ołtarzu ofiar dobrych synów Ojczyzny.

Edmund Callier,

pułkownik wojsk polskich, słynny geograf, przeważnie historyczny, urodził się w Szamotułach w r. 1833. Nauki średnie pobierał w gimnazyum Fryderyka Wilhelma w Poznaniu, ale doszedł tylko do tercyi, gdy ojciec jego przymusił go do zawodu kupieckiego. Po różnych innych próbach zaciągnął się na lat 5 w szeregi legii zagranicznej w Algierze jako szeregowiec. Powróciwszy do kraju, brał czynny udział w ruchu rewolucyjnym w r. 1863, a następnie osiadłszy w Poznaniu, udzielał lekcyi języków francuzkiego i angielskiego, któremi biegle władał.

Założywszy własną księgarnią, oddawał się z zamiłowawiem pracom historycznej i geograficznej treści. Przez długi czas, po zwinięciu księgarni, kierował administracyą „Dziennika Poznańskiego,“ nie przerywając swych zajęć literackich w czasie wolnym od obowiązków administracyjnych. Zmarł w Poznaniu w r. 1896, pozostawiając po sobie obfitą spuściznę prac geograficznej i historycznej treści, a imię zacnego i szlachetnego człowieka.

Klemens Kantecki,

jeden ze zdolniejszych pisarzów wielkopolskich, brat ś. p. ks. dr. Antoniego i ś. p. dra Maksymiliana, urodził się w r. 1850 w Wielowsi, w pow. Odalanowskim, umarł w Poznaniu r. 1884. W pracach swoich: *Życiorys „Szajnochy,“* „Grottgera,“ „Ojca St. Augusta,“ w swoich „Szkicach i opowiadaniach“ dowiódł wielkiego pisarskiego talentu a żal powszechny pozostawił po sobie, gdy go śmierć w kwiecie wieku zabrała z zaniedbanej u nas niwy literackiej, na której obfity plon rokował.

Dr. Maksymilian Kantecki,

historyk i publicysta, ur. w Wielowsi pod Ołobokiem w pow. Odolanowskim w roku 1857, umarł w Poznaniu w roku 1899. Gimnazyum ukończył w Ostrowie, studyował literaturę i historyą we Wrocławiu i tam napisał rozprawę w języku niemieckim „O testamencie Bolesława Krzywoustego“. Jako doktor filozofii przyjął posadę nauczyciela historyi i języka polskiego w ówczesnej szkole realnej. Powołanie swoje pojmował szlachet-

niej i wznioślej, niż na to pozwalała wdzierająca się gwałtem w mury szkolne polityka antypolska. Życzliwy młodzieży, dbały o właściwe jej duchowe wyrobienie, przystępny dla niej i przyjacielski wywierał wpływ bardzo dodatni na dojrzewające umysły. Wykład jego literatury był tak piękny, że np. w zakładzie pp. Danysz uczennice klas innych słuchały pod drzwiami wymownych słów jego. Tacy pracownicy wśród normalnych warunków politycznych dochodzą do odznaczeń i zaszczytów; u nas pruski system mężów takich nie znosi, poświęcenia takiego nie popiera, jeno wprost uniemożliwia. Jak wielu innych, tak też i ś. p. Maksymilian porzucił karyerę profesorską i wstąpił na ciernistą drogę dziennikarską.

Objąwszy po bracie starszym ś. p. ks. drze Kanteckim, naczelną redakcyą „Kuryera Poznańskiego“ niejednokrotnie, w czasie pojednawczej a bezcelowej polityki Koła Polskiego w Berlinie, stanął w przeciwieństwie do zapatrywań osób, które na kierunek pisma tego pragnęły decydujący wpływ wywierać.

Wśród takich stosunków przykrą nieraz była ta praca, do której zasób sił i nauki miał wielki. Zgasł po długich cierpieniach w młodym jeszcze wieku pozostawiając dwoje córeczek i wdowę, która wierną i biegłą mu była towarzyszką w dziennikarskiej pracy.

Władysław Motty,

słynny rysownik i literat, ur. w Poznaniu i tu też zmarł przed 6 laty. Nauki gimnazyalne ukończył w Poznaniu, studya uniwersyteckie we Wrocławiu. Początkowo poświęcał się malarstwu, ilustrował różne dzieła a szczególnie „baśnie i klechdy polskie.“ Później przerzucił się na pole piśmiennicze i wystąpił niebawem z fantastyczną nowelą „Hrabina Hoisthol“ i dramatem „Demon miłości“, granym bez nadzwyczajnego powodzenia w Poznaniu i w Krakowie. Jakkolwiek i drugi jego dramat 4 aktowy „W zapasach z losami“ również nie zjednał mu szczególnego uznania, to jednak pióro jego literackie, szczególnie jako estetyka, wysoko było cenionem. Był to pracownik niewątpliwie utalentowany, ale niestały; złamany złowrogą chorobą, której uległ w młodym jeszcze wieku, popadł w chorobliwy pesymizm, stanowiący też znamię jego utworów.

* * *

I wśród żyjących widzimy jeszcze znaczny zastęp mężów, którzy znaczną część życia swego poświęcili i poświęcają już to dla wzbogacenia nauki polskiej, już też dla krzewienia oświaty i samowiedzy narodowej lub wreszcie dla dźwignięcia ekonomicznego stanu społeczeństwa polskiego. I tak widzimy na czele instytucyi, zastępującej nam poniekąd akademią, — na czele Towarzystwa Przyjaciół Nauk — męża wielkich cnót obywa-



Ksiądz Biskup dr. Likowski.

telskich, głębokiej nauki, wysokiego dostojnika kościelnego, ks. Biskupa *Likowskiego*, który porówno poświęceniem oby-

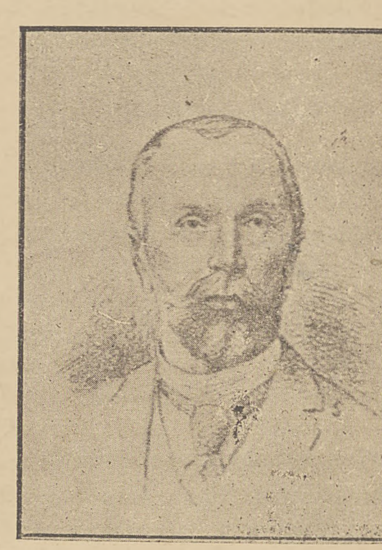


Boromeusz Swierzawski.
(Patrz tekst na stronie 776-tej).

watelskiem, jak dziełami historycznemi wysokiej wartości zapewnił sobie chlubne miejsce pomiędzy najbardziej zasłużonymi Poznańczykami. Dzieło o „Unii“ brzeskiej, świadczące o wielkiej erudycyi ks. Biskupa, zaliczają uczeni do znakomitych prac naszej literatury dziejopisarskiej.

Na około prezesa w poważnej tej instytucyi naukowej, widzimy pokaźny zastęp obywateli, poświęcających się, choć nie wyłącznie, to jednak z chwalebnem zamiłowaniem badaniom i pracom naukowym. I tak widzimy tam zaraz jako wiceprezesa znanego ekonomistę i autora wielu cennych prac ekonomicznej i społecznej treści, *dr. Witołda Skarżyńskiego*, który za „Naszą sprawę“, dziełko, zawierające dużo trafnych spostrzeżeń i pięknych myśli, musiał stawać przed sądem i ponieść wysoką karę pieniężną. Widzimy tam nadto niestrudzonego w pracy sekretarza p. *hr. Benzelstjerna-Engeströma*, męża gorącego serca, który literaturze naszej przysporzył w tłomaczeniu dużo utworów szwedzkich i inflanckich poetów a często też do narodu się odzywał na oryginalną polską nutę, z której brzmiało przywiązanie do Ojczyzny i bił szczery zapał dla narodowej sprawy. Nie wolno nam też pominąć dawniejszego prezesa Towarzystwa, znakomitego okulisty, założyciela znanej kliniki, dziś profesora Wszechnicy Jagiellońskiej, *dr. B. Wicherkiewicza*, który długie lata poświęcił pracy dla rozwoju Towarzystwa i postępu polskiej wiedzy.

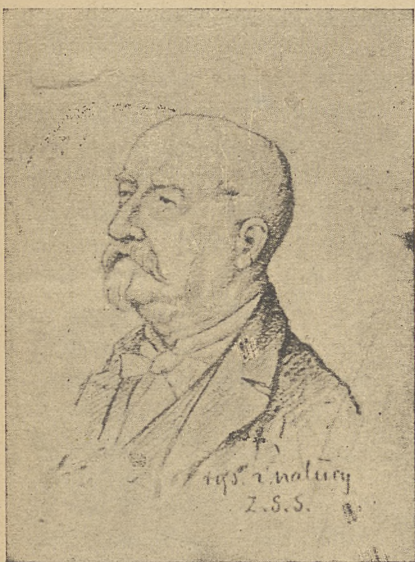
Z mężów, którzy mniej nauce dla nauki, a bardziej rozwojowi ducha narodowego i ekonomicznych sił jego po-



Dr. Witołd Skarżyński.

święcili znaczną część życia i pracy, przypomnieć wystarczy sędziwego patrona *Maksymiliana Jackowskiego*, o którego niespożytych dla stanu włościań-

skiego zasługach tylokrotnie już pisaliśmy.



Hr. Benzelstierna-Engeström.

A z pośród młodszych obywateli czyliż nie należy się chlubna wzmianka mecenasowi *Bernardowi Chrzanowskiemu*, który jednocześnie jako prezes Związku Towarzystw sokolskich, jako organizator wykładów popularnych, jako ruchliwy



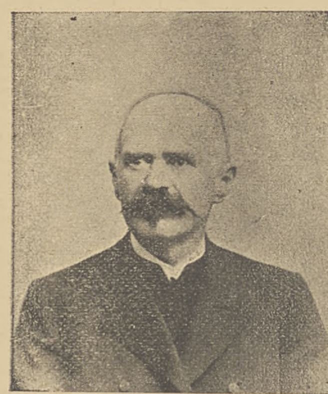
Prof. Bolesław Wicherkiewicz.

współpracownik dla rozwoju czytelń ludowych, jako poseł i obrońca zawsze równym duchem natchnioną rozwija działalność?

Mężom słynnym, głównie lub wyłącznie literaturze i nauce oddanym, poświęcamy osobne miejsce. Wymieniamy ich w alfabetycznym porządku:

Dr. Zygmunt Celichowski,

syn znanego pedagoga Antoniego, ur. 1845 we Wronkach, skończył studya wstępne w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, kształcił się następnie w uniwersytetach wrocławskim i berlińskim, a dyplom doktora filozofii uzyskał w Lipsku po obronie rozprawy historycznej, dotyczącej abdykacyi króla Jana Kazimierza a elekcyi Michała Wiśniowieckego. Jako konserwator biblioteki i zbiorów kórnickich (od r. 1869) p. dr. Z. C. przysporzył literaturze naszej bardzo dużo i bardzo rzadkich zabytków piśmiennictwa naszego z dawniejszych czasów i ogłosił dużo prac wielkiego dla historyi znaczenia. Jednocześnie z wielkiem zamiłowaniem poświęcał się sprawie ekonomicznego dźwignięcia społeczeństwa naszego, o czem pomiędzy in-



Dr. Z. Celichowski.

nemi świadczy rozprawa jego zatytułowana: „Kilka uwag nad podniesieniem przemysłu naszego“, a nie mniej czynny udział w każdym poważniejszym ruchu i wszelkich organizacyach, mających rozwój przemysłowy na celu. Gorącem pragnieniem naprawy położenia naszego powodowany, chętnie zawsze służył radą i pomocą młodszym obywatelom poznańskim, garnącym się do poważniejszych spraw społecznych. W zastępie młodszych sił, jakie się zszeregowały przed 6 laty w około „Przeglądu Poznańskiego“, był jednym z najdzielniejszych, najrozumniejszych pracowników. Niepospolita wiedza, jasne zrozumienie warunków bytu naszego społeczeństwa, gorąca miłość Ojczyzny, pilność i sumienność znamionują działanie dr. Zygmunta Celichowskiego na wszelkich polach jego naukowej i obywatelskiej pracy.



Józef Chociszewski,

znamienity pisarz ludowy, urodził się w Poznaniu, tu się kształcił i tu największą część pracy swej literackiej poświęcił narodowi. Ogromną zasługą J. Ch. jest rozbudzenie w szerokich warstwach ludu zmysłu do czytania książek polskich. Umiał odgadnąć jego duchowe potrzeby, trafić do jego serca i jego myśli, umiał przemawiać do niego językiem prostym i jasnym, jakkolwiek nie zawsze poprawnym. Oprócz licznych powieści, jakiemi literaturę wzbogacił, upamiętniać będą imię jego podręczniki historyi polskiej i naszego piśmiennictwa, w bardzo przystępnej skreślone formie. W roku zeszłym uczciło społeczeństwo wielkopolskie zasłużonego tego pracownika na niwie literatury ludowej licznemi objawami uznania i wdzięczności z okazyi 50-letniej jego pisarskiej działalności.

Ks. prałat Dr. Władysław Chotkowski,

profesor historyi kościelnej w uniwersytecie Jagiellońskim, poseł do Rady Państwa austryackiej, ur. w Mielżynie roku 1843, odbywał nauki gimnazyalne w Poznaniu, później w Trzemesznie, a gdy zakład trzemeszeński zamknięto, powrócił do gimnazyum św. Maryi Magdaleny i tu zdał egzamin dojrzałości. Ukończywszy studya teologiczne w seminaryum poznańskiem i przebywszy rok praktyki w Gnieźnie, otrzymał tamże święcenie kapłańskie z rąk ówczesnego arcybiskupa hr. Halki-Ledóchowskiego. Po dalszych studyach w Monasterze, uzyskał z chlubą stopień doktora w roku 1869 odznaczając się tem, że pokonał świetną argumantacyą pewnego profesora, który podczas obrony dysertacyi niespodzianie przeciwko jego tezom wystąpił. W Poznaniu pełnił początkowo tylko kilka tygodni obowiązki wikaryusza przy kościele św. Marcina, poczem, wysłany do Bydgoszczy, pracował tam jako nauczyciel religii przy szkole realnej a zarazem jako pierwszy wikaryusz i kaznodzieja niemiecki. Dopiero w roku 1872 powrócił na czas dłuższy do Poznania, ażeby podjąć czynności katechety przy szkole realnej i dyrektora konwiktu imienia Szołdrskich. Skutkiem starć z władzami pruskiemi wypadło mu złożyć urząd nauczycielski i przez lat następnych 8 ograniczyć się w opiece nad młodzieżą po za murami szkolnemi. Nabożeństwem w kościele Farnym, kazaniami i nauką prywatną religii usiłował powetować to, co marnej pamięci walka kulturna z wielkim uszczerbkiem dla dorastającego pokolenia burzyła. Na mocy tak zwanych ustaw majowych wytoczono mu za tę, podług zdania Prusaków „bezprawną“ opiekę nad młodzieżą proces i zniewolono go miesiąc cały spędzić po za krajem. Ostatecznie proces rozstrzygnięto na jego korzyść. W tym mniej więcej czasie ks. prałat Chotkowski słynąć począł jako pisarz i kaznodzieja. Kazania jego o kwestyi socyalnej, o wychowaniu dzieci oraz liczne mowy pogrzebowe olśniewały świeżością myśli porówno, jak wytwornością



Ks. Prałat Dr. Władysław Chotkowski.

formy. Jednocześnie zwracały na niego uwagę świata uczonego liczne prace z dziedziny teologii i historyi, a gdy w r. 1881 ukazało się dziełko jego p. t.: „Rozszerzanie protestantyzmu w ziemiach polskich pod rządem pruskim w XVII i XVIII wieku", otrzymał zaproszenie do objęcia katedry historyi kościelnej w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Porywającą wymową i niepowszednią wiedzą zdobył sobie i tam niebawem zasłużone uznanie wraz z licznemi zaszczytami. W roku 1890 mianował go papież Leon XIII swoim prałatem domowym, w dwa lata później obrano go jednogłośnie rektorem uniwersytetu krakowskiego, a od r. 1891 zasiada stale jako członek Rady Państwa w Wiedniu. Ks. Wł. Chotkowski jest mężem niepoślednich darów umysłu i mógł był w Krakowie wielki wpływ wywrzeć na przeobrażenie smutnych stosunków. Zdawało się, iż miarą swej niepospolitej inteligencyi zdziała tam dużo w kierunku postępowym, wykazuje się jednak, że przeciwko wstecznictwu działać nie potrafił; poszedł z prądem, rozwojowi nowoczesnemu przeciwnym.

Dr. Bolesław Erzepki,

z rzędu zasłużonych mężów nauki poznańskich, konserwator zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ur. w Pawłowicach (powiatu leszczyńskiego), nauki gimnazyalne kończył w Lesznie, studya uniwersyteckie odbył we Wrocławiu i tam po obronie rozprawy swej krytycznej o tekście kazań gnieźnieńskich uzyskał w r. 1885 stopień doktora filozofii. Objąwszy w tymże roku opiekę nad muzeum i biblioteką Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zajął się gorliwie uporządkowaniem zbiorów poprzednio znajdujących się w wielkim nieładzie i w krótkim stosunkowo czasie przekształcił cały instytut odpowiednio do nowoczesnych wymagań. — Wśród wyczerpujących zajęć nad urządzeniem i uorganizowaniem wewnętrznem muzeum i biblioteki potrafił dużo jeszcze z bogatego zasobu energii i sił umysłowych poświęcić pracom literacko-naukowym. Świadczy o tem chlubnie długi szereg wydanych przez niego rękopiśmiennych zabytków i rozpraw cennej treści. Od r. 1887 do 1890 wydawał wspólnie z ś. p. adwokatem Władysławem Jaździewskim „Zapiski archeologiczne poznańskie" a nieco później wydał wartościowe „Album przedhistorycznych zabytków W. Ks. Poznańskiego." W r. 1899 rozpoczął wydawnictwo



Dr. Bolesław Erzepki.

„Nieznanych zabytków piśmiennictwa polskiego i wydał już w I-szym zeszycie „Kazania niedzielne i świąteczne nieznanego autora, spisane około r. 1555." W zeszłym roku, dzięki jego pracy ukazał się „Słownik łacińsko-polski Bartłomieja z Bydgoszczy podług rękopisu z r. 1532". Nadto, przygotował nasz uczony cenne prace z zakresu piśmiennictwa epoki króla Stanisława Augusta, które niewątpliwie bardzo ciekawe światło rzucą na owe smutne czasy i spowodują poniekąd zmianę zapatrywań na ducha epoki upadku Polski. Wszystkie prace dr. Erzepkiego odznaczają się nadzwyczajną znajomością przedmiotu, głęboką nauką, rzadką sumiennością a przytem czystością i pięknością języka.

Teodor Jeske-Choiński,

powieściopisarz, dziennikarz i krytyk literacki urodził się w Pleszewie około r. 1852, nauki średnie pobierał w Śremie i w Poznaniu, w zakładzie św. Maryi Magdaleny, wyższe na wydziałach filozoficznych we Wrocławiu, Pradze i Wiedniu. Po pierwszych pomniejszych próbkach rozwinął siły swoje na szerszem polu powieściopisarstwa i tam wkrótce sobie wyrobił imię szczególnie dwiema zaletami, mianowicie wielką żywością i jednością stylu. Powróciwszy z Wiednia r. 1882 osiadł na stałe w Warszawie i tam wystąpił na arenę dziennikarską jako antysemita i wróg nowszego pozytywistycznego kierunku w literaturze. W Poznaniu, jak wogóle w pierwszych czasach działalności literackaej, objawiał żywo ducha wolnomyślnego, postępowego. W Warszawie zwrócił się stanowczo w kierunku konserwatywnym. Z główniejszych jego powieści przedewszystkiem na wzmiankę zasługują: „Za winy ojców," „Z kulą u nogi," „Nad Wartą," „Po złote runo," „Gasnące słońce." Z rozpraw wymienić należy: „Żydzi na tułactwie," „Pozytywizm warszawski i jego główni przedstawiciele," „Na schyłku wieku." Jako polemista uwydatnił się w dziennikarstwie mniej bezstronnością, jak biegłością stylistyczną i jędrnością wywodów.

Na tym przeglądzie mężów nauki, wybitniejszej twórczości i pożytecznej organizacyjnej pracy, którzy albo w Poznaniu się rodzili, albo też tu przez czas dłuższy nadzwyczajną zaznaczyli się działalnością, kończymy opisową swą pracę. Nie wyczerpuje ona zupełnie szczegółów, które bacznemu oku kronikarza ujść nie powinny, ale nie mogło być zadaniem naszem zamieszczać w szczupłych ramach „Pracy" szczegółowego studyum. Tuszymy sobie zaś, że nie nużąc Czytelników naszych rozwinęliśmy przed ich oczami najważniejsze obrazy opisowe Poznania jako miasta, oraz Poznania, jako ogniska ruchu umysłowego i narodowego.

* * *



Dawniejszy a dzisiejszy przemysł Poznania.

Lubo Poznań nie był nigdy miastem fabrycznem, mimo to znajdowało się w niem, jak twierdzą nasi i obcy ekonomiści, więcej zakładów fabrycznych, niż za dni naszych.

Huta szklana istniała już ku końcowi 13 wieku; stała ona za kościołem św. Małgorzaty nad rzeką Cybiną; istniała do 17 wieku; wyrabiano w niej prawdopodobnie gorszego gatunku szkło do okien i proste naczynia.

Papierni znajdowało się kilka w okolicy Poznania od 16 w. począwszy; należały one częścią do Kapituły poznańskiej, częścią do mieszczan poznańskich; zniszczone podczas pierwszej wojny szwedzkiej za Jana Kazimierza, nie powstały więcej.

Hamernią posiadało miasto w 16 i 17 w. we wsi swej Jeżycach. Była ona puszczana w dzierżawę kotlarzom poznańskim; niektórzy geografowie Poznania domyślają się, że w jego pobliżu kopano rudę miedzianą lub żelazną.

Warsztaty sukiennicze. Od 17 w. począwszy, bywało w Poznaniu po *parę set* warsztatów, które wielkie mnóstwo różnego sukna wyrabiały. Do przędzenia sukna znajdowało się w mieście samem kilka *foluszy*.

Postrzygalnia znajdowała się w w. 15 i 16 w rynku; należała do magistratu i stała za jatkami rzeźniczemi. Magistrat wydzierżawiał ją; prócz tej postrzygalni istniało kilka innych prywatnych.

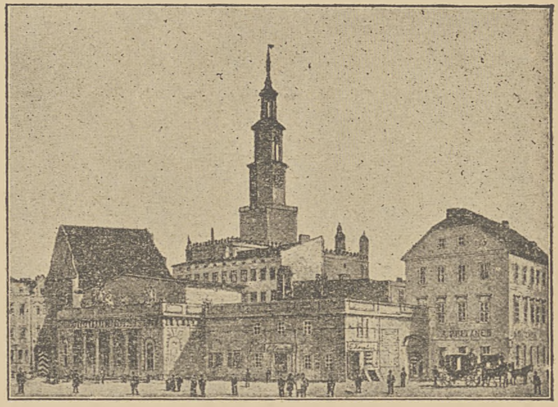
Piły czyli tartaki. Poznań leżąc nad spławną rzeką, spowadzał częścią na własne potrzeby, częścią na handel zagraniczny bardzo wiele drzewa, które dla łatwiejszego wywozu przerzynać i obrabiać potrzeba było. Z tej to przyczyny znajdowały się w Poznaniu od najdawniejszych czasów piły. Jeszcze w r. 1633 założył biskup Nowodworski na Cybinie tartak.

Fabryka materyi jedwabnych. Za czasów ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta, kiedy po pierwszym rozbiorze Polski zaczął się w mieście podnosić przemysł, a z nim handel, niejaki Ferdynand Bakin, przyjąwszy prawo miejskie, założył w r. 1784 fabrykę wyrobów jedwabnych, za co magistrat uwolnił go na lat 9 od wszelkich podatków miejskich. Jak długo fabryka ta istniała, dokładnie nie wiadomo; prawdopodobnie za czasów pruskich upadła.

Dawniejszy przemysł zawdzięcza rozwój swój sprawiedliwemu dla wszystkich bez różnicy narodowości magistratowi, opiece królów polskich i ich rządom.

Co o dzisiejszym powiedzieć przemyśle Poznania? Piszemy tylko o przemyśle polskim a ten ani w przybliżeniu nie jest tem, czem był dawniej. To też kilka tylko tych zakładów przemysłowych zapisać nam przychodzi. Obecnie są 2 fabryki wyrobów żelaznych i narzędzi rolniczych: 1) H. Cegielskiego w Poznaniu, połączona w najnowszym czasie z takąż fabryką N. Urbanowskiego na św. Łazarzu i 2) *Skrzydlewskiego* i spółki. Poznań ma dalej ustalonego uznania fabrykę mebli *Dankowskiego* przy ulicy Wilhelmowskiej i *Zeylanda* przy Wielkich Garbarach, dalej fabrykę nawozów sztucznych na prawym brzegu Warty *Maja*, dziś Paczkowskiego w Starołęce, fabrykę wyrobów kamiennych, dawniej Krzyżanowskiego w końcu Małych Garbar, na drodze do Szeląga, i takąż fabrykę S. Michalskiego i Spółki prz ulicy Wilhelmowskiej.

W nowszych czasach powstało kilka polskich fabryk papierosów, jako to: Ganowicza, Drostego i fabryka cygar I. Leitgebra i Nehringa przy ulicy Wilhelmowskiej.



Widok Starego Rynku.

Z licznych poznańskich destylarni wódek i likierów znajduje się w ręku polskiem między innemi dobrze prosperująca fabryka wódek i likierów pp. *Marczyńskiego i Klóskowskiego*; w tej gałęzi przemysłu na prowincyi zdobyła sobie ogólne uznanie w kraju i zagranicą fabryka wódek i likierów *Kasprowicza* w Gnieźnie i takież destylarnie A. Szmytkowskiego w Pniewach oraz L. Zehra w Śmiglu. Z 4 młynów parowych w pobliżu Poznania żaden nie znajduje się w ręku polskiem. O polskich młynach i gorzelniach na prowincyi opiszemy w poszczególnych powiatach.



Bank Przemysłowców.

* * *

Ratusz poznański, to arcydzieło sztuki budowniczej z 16-go wieku, tuli jakoby troskliwa kokoszka pod skrzydła

swoje tę resztkę domów, jakie dotąd pozostały z dawnych gmachów przy rynku poznańskim z czasów Polski niepodległej. Te małe domki murowane o trzech, dwóch i jednem oknie z frontu jako znaku zewnętrznym to szlacheckiej, to mieszczańskiej własności, skromnie się wprawdzie przedstawiają, mimo to głębokie na widzu sprawiają wrażenie jako zabytki naszej ukochanej przeszłości. To też z tego powodu podajemy tutaj

Widok Starego Rynku.

Jak rynki miast wszystkich, tak i poznańskiego stanowi centrum ruchu handlowego z główną jego odnogą, ulicą Szeroką. Żal i wstyd pobiera rodaka z innych dzielnic Polski do Poznania przybyłego, że stojący tu na posterunku ku Zachodowi wysuniętym Polacy pozwolili sobie wydrzeć z rąk dawną własność dziś w ręku obcych zostającą, przeważna bowiem część domów przy Starym Rynku położonych należy do innoplemieńców, głównie do potomków Izraela. Domy polskie giną nieledwie w tej masie kamienic żydowskich — są jakoby rari nantes in gurgite vasto, rzadko pływające w obszernym a pustym oceanie. To też z przyjemnością zapisujemy ku chlubie tych rodaków, którzy skrzętną pracą dobiwszy się fortuny, zdołali posieść kilka tutaj domów na własność. Z polskich Spółek zarobkowych ma przy Starym Rynku własny piękny dom

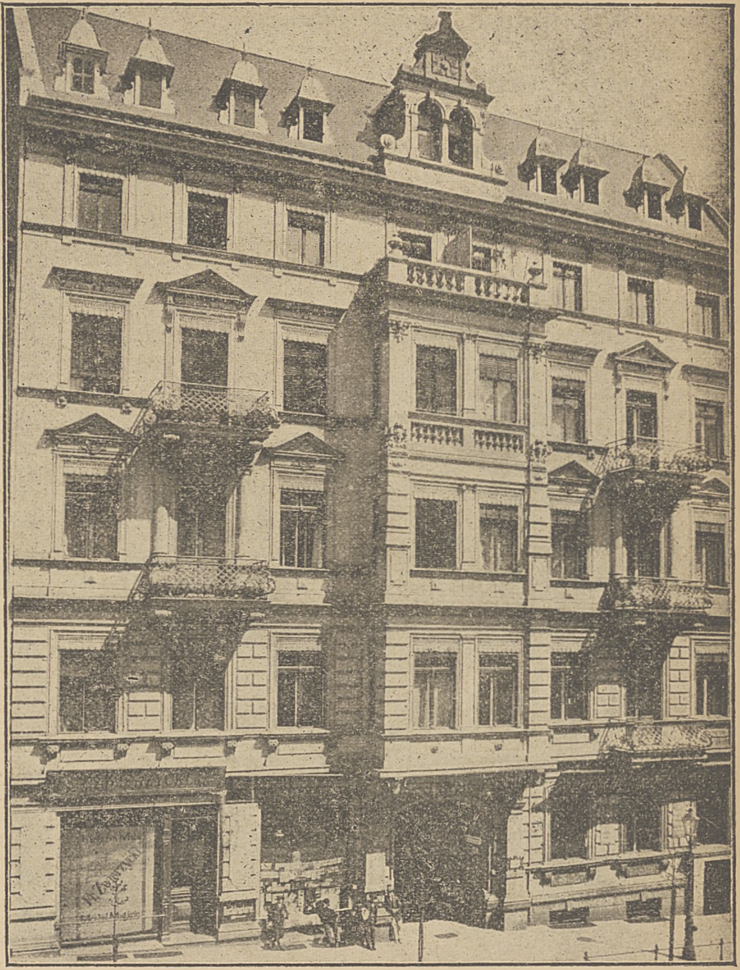
Bank Przemysłowców miasta Poznania.

Po tej samej połaci ma aptekę pan Jasiński we własnym domu, dawniej znaną własność Kolskiego.

Na przeciwnej stronie, w pobliżu Szerokiej ulicy posiada jednę z najstarszych aptek w Poznaniu po Jagielskich pan Gierłowski, również we własnym domu.

Wielki narożny także własny dom w stronie południowej, ciągnący się w ulicę Wodną, ma pan Brzeski a w nim renomowaną garderobę mężkich ubiorów.

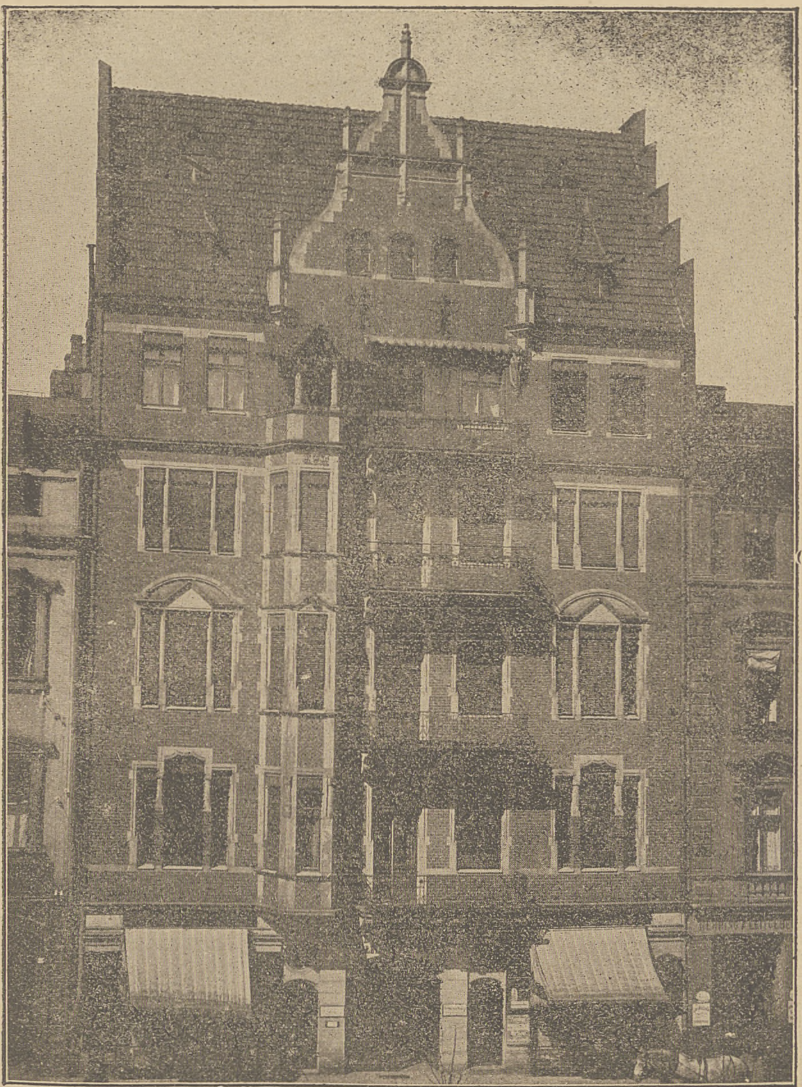
W Rynku przy skręcie na Wrocławską ulicę stoi piękna kamienica pana dr. Antoniego Chłapowskiego, posła sejmowego.



Spółka Rolników Parcelacyjna.

Przy ulicy Wilhelmowskiej, po stronie, gdzie się mieszczą Stany prowincyonalne (w dawnej polskiej landszafcie) rzuca się w oczy przechodnia i imponuje mu piękna polska budowla

Bank Związku Spółek zarobkowych.



Bank Związku Spółek Zarobkowych.

Dobiegłszy do ulicy Fryderykowskiej i przeszedłszy plac Królewski, dojrzysz zdala przy ulicy Młyńskiej

Bank Ziemski,

w pobliżu Muzeum Mielżyńskich po stronie przeciwnej. Oprócz tej instytucyi parcelacyjnej, tak konieczne j w dzisiejszych czasach, w których ziemia z pod nóg nam się usuwa i przechodzi do obcych, mają Polacy kilka jeszcze tego rodzaju zakładów, jako to

Spółkę parcelacyjną, przy ulicy Podgórnej i Bank parcelacyjny na Piekarach.

Pisząc o instytucyach polskich niemożemy też pominąć „Westy“, Banku wzajemnych zabezpieczeń, który tak pod względem finansowego ufundowania jak i świetnego rozwoju, nieustępuje w niczem wielkoświatowym niemieckim bankom zabezpieczenia

„Westa“,

Bank wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu, założona 1873, zatwier-



Bank Ziemski.

dzona królewskiem rozporządzeniem z dnia 8 sierpnia 1873.

Czynności „Westy“ podlegają kontroli rządowej wydziału „Kaiserliches Aufsichtsamt für Privatversicherungen, Berlin.“

Stan zabezpieczeń na końcu roku 1900 wynosił M. 11,648,136.



Westa.

Od początku swego istnienia aż do końca roku 1900 wypłaciła „Westa“ po członkach zmarłych i na polisy za życia członków płatne w 1715 przypadkach M. 3,223,954.

Cały majątek Towarzystwa podniósł się w końcu roku 1900 do wysokości M. 3,206,038; czysty zysk z roku 1900 idący do podziału wynosi M. 58,333,82 — członkom zabezpieczonym z ryzykiem śmierci przypadnie 10% dywidendy w stosunku do składek rocznych (za rok 1899 wypłacono 6%).

„Westa“ posiada przeszło 1/4 ogólnej sumy zabezpieczonej w swej rezerwie, i to w dobrze ulokowanych procent przynoszących funduszach, odpowiada zatem wszelkim najsurowszym wymaganiom, jakie bankowi asekuracyjnemu stawiać można.

„Westa“ zabezpiecza kapitały płatne przy śmierci osoby zabezpieczonej ze składką opłacaną aż do śmierci lub przez oznaczoną liczbę lat; dalej kapitały płatne w chwili, gdy zabezpieczony dożyje pewnego z góry oznaczonego wieku — w razie rychlejszej śmierci odbiera sumę zabezpieczoną rodzina natychmiast; także kapitały na studya, wojskowość i posag dla synów lub córek.

Dla mniej miennych a mianowicie dla klas robotniczych wprowadziła „Westa“ do swych urządzeń kasę pogrzebową, do której może przystąpić każda zdrowa osoba w wieku od 20 do 50 lat życia bez świadectwa lekarskiego! Kapitał zabezpieczony — najwyższa suma Mk. 700 — wypłaca się już za życia po skończonym 60 tym roku życia lub po rychlejszej śmierci.

Oprócz wyżej wymienionych kombinacyi przyjmuje także „Westa“ wszelkie inne rodzaje zabezpieczenia, o ile takowe dadzą się podciągnąć pod obliczenie asekuracyi życiowej oraz przepisy statutu „Westy.“ Bliższych objaśnień udziela Dyrekcya na osobne zapytanie, wystosowane bądź wprost, bądź przez pośrednictwo agenta.

W najpiękniejszej części miasta, tuż przy placu Wilhelmowskim imponuje wszystkim, wspaniały gmach polski, środowisko życia obywatelskiego,

Bazar,

przy ulicy Nowej, który pozostanie na zawsze wymownem świadectwem obywatelskiej pracy dr. Karola Marcinkowskiego, gdyż za jego głównie staraniem obszerny gmach ten został 1840 roku wzniesiony. Dopomogli mu do wykonania tej myśli przedewszystkiem Maciej hr. Mielżyński i Antoni hr. Łącki.

W owych czasach nie było prawie mowy o polskim handlu i przemyśle w Poznaniu, a co rzecz dziwniejsza, że nie było miejsca, gdzieby się Polacy mogli zbierać, radzić, pouczać i bawić swobodnie. Marcinkowski zrozumiał, że idea, aby się w czyn zamienić, wymaga widomych kształtów, dlatego powziął zamiar zbudowania przybytku, któryby się stał ogniskiem życia polskiego dla Poznania i Księstwa, a zarazem zawiązkiem rodzimego handlu, przemysłu i rolnictwa. Marcinkowski pragnął usilnie, aby powstała szkoła przemysłowa i rolnicza dla polskiej ludności; środków ku temu miał Bazar dostarczyć. Nie przyszło do wykonania tej myśli, jednakże życzenie zacnego patryoty w części zostało spełnionem i spełnia się, gdyż Towarzystwo Bazarowe wypłaca co rok 3 tysiące marek na poparcie Towarzystwa Pomocy Naukowej i tyleż dla Kółek rolniczych włościańskich, zostających pod przewodnictwem patrona Jackowskiego.

Najwięcej uwagi godną w Bazarze jest sala wielkich rozmiarów, na której odbywają się wiece, różne obywatelskie zebrania, odczyty, koncerty, zabawy i t. d. W Bazarze ma także siedlisko Koło Towarzyskie, które niegdyś wielki wpływ wywierało. Obecnie istnieje w tym gmachu 15 wielkich i wspaniałych składów handlowych, polskich.



Hotel francuzki.



Widok Bazaru z placu Wilhelmowskiego.

Do obszernych gmachów w górnej części miasta Poznania zaliczyć należy

Hotel francuzki,

w dogodnem i ożywionem położony miejscu, przy ulicy Wilhelmowskiej i rogu ulicy Podgórnej.

Ciężkie nad wyraz warunki ekonomiczne, wśród których Polacy w Poznaniu jako też w całym zaborze pruskim walczyć są zniewoleni o chleb powszedni i troszczyć się o rozwój przemysłu, tej jednej z gałęzi dobrobytu krajowego, są silną dźwignią, bodźcem i początkiem



Dom Katolicki.

wzrastających coraz bardziej zakładów, poświęconych przemysłowi i umysłowości polskiej. Dzięki tej naszej tak chwalebnej trosce zawdzięczamy

Dom katolicki,

w którym oprócz dobrej restauracyi, sali do zebrań dla licznych Towarzystw polskich, mieści się „Kuryer Poznański" wraz z własną drukarnią i księgarnią. Dom ten katolicki wraz z domem frontowym położony jest w pobliżu kościoła św. Marcina, a więc w miejscu wielce ożywionem. Pochop do budowy domu katolickiego dał ś. p. kanonik Kubowicz, dając znaczny własny fundusz.

„Kuryer Poznański"

istnieje od 30-tu lat. Założony został przez Teodora Żychlińskiego. Wkrótce po założeniu wszedł w ostre konflikta z władzami rządowemi, mianowicie za czasów kulturkampfu. Zasilał go wtedy znakomitem swojem piórem X. Jan Koźmian, a redakcyę prowadził X. Dr. Kantecki.



Bank Parcelacyjny na Piekarach.

Tego ostatniego rząd pruski postanowił usunąć z ważnego posterunku, na którym się znajdował i w tym celu wymusił na Arcybiskupie Dinderze odwołanie księdza Kanteckiego z redakcyi „Kuryera". X. Kantecki złamany tym ciosem nie żył już długo. Po nim zmieniali się redaktorzy, a znimi i poziom pisma. Wreszcie w roku ubiegłym 1900 postanowili akcyonaryusze pisma, skła-



Franciszek Morawski,
naczelny redaktor Kuryera Poznańskiego.

dający się z poważnego zastępu obywateli Księstwa, w piśmie przeprowadzić znaczne reformy. W tym celu został przedewszystkiem zmieniony skład redakcyi, której reorganizacya została powierzoną p. Franciszkowi Morawskiemu z Luboni, wnukowi poety wielkopolskiego, generała Franciszka Morawskiego. Nowa redakcya postawiła sobie przedewszystkiem za zadanie zagoić rany, które walki stronnictw polskich w ostatnich latach naszemu społeczeństwu zadały i uwzględnić słuszne żądania demokratycznych prądów naszego ruchu politycznego. To też od pierwszej chwili zaznaczyło się w zreformowanym „Kuryerze" stanowcze zerwanie z mrzonkami ugodowemi, które dawniej w „Kuryerze" pokutowały. Wierny tradycyom swego dziada, który już w początkach tego wieku polskich konserwatystów nawoływał do oparcia się na zdrowym głosie opinii ogółu kraju, nowy kierownik „Kuryera" w szeregu artykułów wstępnych wyraził swój pogląd na sprawy publiczne, wielce różniący się od dawnego lękliwego traktowania najważniejszych zagadnień naszego życia publicznego.

Naczelny redaktor p. Morawski okazał nadto podczas krótkiego swego kierownictwa trzy cenne publicystyczne zalety: łatwość oryentacyjną, sprężystość i pomysłowość. Nie wątpimy też, że dalsza umiejętna praca pana M. nie tylko do świetniejszego jeszcze rozwoju doprowadzi organ, jego pieczy oddany, lecz także wywierać będzie wpływ dodatni na wewnętrzno-społeczne stosunki nasze.

Pod względem technicznym także nastąpiły zmiany w „Kuryerze". Mianowicie wzmocnionym został dział ekonomiczny. Jako jedyne z pism polskich, wychodzących pod zaborem pruskim, podaje „Kuryer" telegrafowane giełdy z dnia i w tym celu drukuje drugie osobne wydanie, wychodzące wieczorem, w którem zawarte są najświeższe telegramy giełdowe i polityczne. Została też wprowadzoną nowość, mianowicie stała rubryka głosów prasy.

Najstarszem i największem codziennem pismem poznańskiem jest

„Dziennik Poznański",



Dom wydawnictwa „Dziennika Poznańskiego".

założony w roku 1858 przez liberalną szlachtę i inteligencyą. Naczelnymi jego redaktorami i główniejszymi współpracownikami byli: Hipolit Cegielski, Wł. Bentkowski, Wł. Wierzbiński, Waligórski, Fr. Dobrowolski, St. Bronikowski, Kaźmierz Jarochowski, Ignacy Klatecki, Władysław Motty, Wł. Rabski, Kaźmierz Puffke.



Dr. Władysław Łebiński,
naczelny redaktor „Dziennika Poznańskiego".

„Dz. P." czytany jest przeważnie w kołach inteligencyi większej i średniej własności ziemskiej oraz w kołach inteligentnego mieszczaństwa i kupiectwa. Reprezentuje kierunek narodowy i umiarkowano-liberalny. Służy jak najświeższemi informacyami z chwili i ma szerokie koło korespondentów.

Od r. 1899 mieszczą się lokale redakcyi, administracyi i drukarni w własnym gmachu przy ul. Fryderykowskiej nr. 9.

„Dziennik Pozn." wraz z drukarnią jest Towarzystwem akcyjnem. Prezesem rady nadzorczej jest Mieczysław hr. Kwilecki, naczelnym redaktorem jest mąż poważnych nauk, znany literat i publicysta p. dr. Wł. Łebiński, a zastępcą p. Krysiak, dziennikarz biegły i duszą oddany sprawie; dyrektorem administracyjnym jest poseł Władysław Jerzykiewicz.



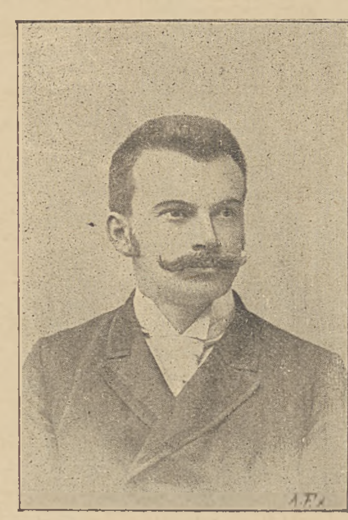
Drukarnia „Wielkopolanina " (Fr. Chocieszyńskiego.)

W formie obecnej wychodzi

„Wielkopolanin"

rok 19-ty. Pierwszym naczelnym redaktorem był p. dr. Tadeusz Jackowski, syn czcigodnego Patrona Kółek włościańskich, M. Jackowskiego, po nim objął krzesło redaktorskie dziś już zmarły ś. p. Julian Bukowiecki.

W lipcu r. 1894 powołano do kierownictwa pisma p. Walerego Łebińskiego,



Walery Łebiński,
naczelny redaktor „Wielkopolanina."

który po dziś dzień pismo prowadzi. Pismo rozwinęło się znacznie od roku 1894. W r. 1894 liczyło przeciętnie 8500 abonentów, obecnie ma w przeciągu 11,500, dochodzi zaś w zimowych miesiącach do 13,000 abonentów.

Pismo jest przeznaczone dla stanu średniego i dla kół robotniczych i nie mało przyczynia się do podniesienia oświaty, podniesienia ekonomicznego i wyrobienia samowiedzy wśród ludu.

Wydawnictwo „Pracy,"

pana Marcina Biedermanna

przed 5 laty w małych rozmiarach podjęte, rozrosło się w tym krótkim czasie tak, iż niezaprzeczenie należy do największych przedsiębiorstw polskich tego rodzaju. Drukarnia, o 8 motorach elektrycznych, o 8 wielkich i dwóch mniejszych maszynach do druku, zaopatrzona w kilka innych jeszcze maszyn do specyalnego użytku, dalej w 2 specyalne maszyny illustracyjne, z własną stereotypią, introligatornią itd. — mieści się w nowo wybudowanym własnym gmachu i zajmuje 3 piętra, urządzenie wzorowe podług najnowszych wymagań techniki, jak bogactwa czcionek, kliszy itp. Przedsiębiorstwo to wydawnicze samych poszytów „Pracy" puszcza w świat około 14,000, obok tego „Czytelnią Polską" w 4000 egzemplarzy, a



Dom wydawnictwa „Pracy."

obecnie już się znów powiększa dla przedsięwzięcia nowych nakładów.

Do robót przygodnych, jak druk broszur, dzieł, afiszów, okólników, kart wizytowych i t. p. drukarnia „Pracy" bogato jest uposażoną.

* * *

Przemysł wielkopolski daje w tej chwili nowy dowód swej żywotności. W bieżącym może już roku stanie

Dom Przemysłowy

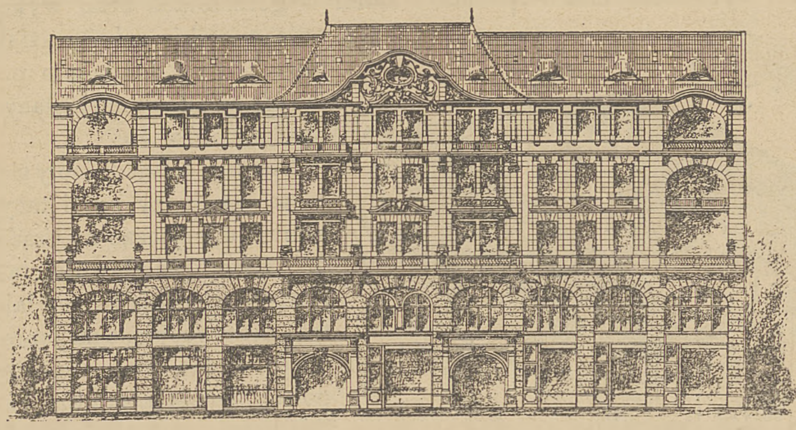
w stronie północnej placu Wilhelmowskiego, tuż przy bibliotece Raczyńskich.

Garstka ludzi zapału i męzkiej wytrwałości powzięła dobrą myśl założenia obszernego ogniska, którego płomienie ogrzaćby zdołały i rozwinąć wszystkie gałęzie przemysłu wielkopolskiego. Myśl ta piękna ogarnęła niezwykłym zapałem przemysłowe i handlowe a i naukowe warstwy poznańskie. Inicyatorowie jej wzięli się może za rączo do wykonania projektu, obliczając, że choć nasze wielkopolskie społeczeństwo nie jest tak bardzo zasobne w odpowiednie środki, zdoła jednak z czasem wystawić gmach odpowiedni, dorzucając zwolna cegiełkę po cegiełce do projektowanej budowy. Ale zapalność nasza do wszystkiego, co piękne



Architekt Stanisław Mieczkowski.
Po długich sporach „Dom Przemysłowy" buduje się podług pomysłu p. Stanisława Mieczkowskiego. Projekt tego młodego, zdolnego architekta ostatecznie uznano za najlepszy i najpraktyczniejszy.

i wielkie, poczęła blednąć, a jak to zawsze u nas bywa, podniosły się głosy złowrogiej wieszczki, przestrzegające jak starożytna Kassandra przed poronieniem



Frontowy widok Domu Przemysłowego.
Podług rysunku znanego architekta p. Mieczkowskiego.

pomysłu. Nastąpiło tedy wahanie, zapał ustawał — a urodzeni pesymiści, ludzie patrzący na świat przez czarne okulary — rozpoczęli na dobre zawodzić pieśni tryumfu. Na szczęście nie upadli na duchu ojcowie projektu i po różnych starciach i walkach odnieśli zwycięztwo. Rozpoczęła się więc budowa, położono kamień węgielny, na powierzchni ukazały się pierwsze ściany murowane i w dniu 1 czerwca nastąpiło

Poświęcenie Domu Przemysłowego
(patrz illustracyę albumową w nr. 27 „Pracy".)

któremu z całego serca życzymy błogosławieństwa Bożego i błogich owoców ku pożytkowi całego naszego społeczeństwa.

Prawdziwą chlubą naszego polskiego przemysłu jest

Fabryka narzędzi rolniczych „H. Cegielski Tow. akcyjne."

Początek jej mały, a dziś może ona współzawodniczyć z zagranicznemi tegoż rodzaju zakładami, nawet w krajach, w których przemysł do olbrzymich doszedł rozmiarów. Założycielem naszej poznańskiej fabryki jest ś. p. Hipolit Cegielski, mąż zaszczytnie zapisany w naszej literaturze, jeden z szeregu naszych przywódzców, którzy przez długie lata trzymali w swem ręku ster naszych spraw społecznych, narodowych i politycznych.

Choć pełen wiedzy i nauki, miał ś. p. Hipolit umysł wielce praktyczny; to też zrozumiał, że kraj, jak nasz, rolniczy, potrzebuje koniecznie własnej fabryki narzędzi rolniczych, ażeby kapitały polskie nie szły za granicę.

Jak w życiu wielu naszych uczonych i mężów stanu, tak i w życiu ś. p. Hipolita odegrały wypadki polityczne nie małą rolę. Rok 1846, mający tyle podobieństwa do obecnych czasów zwichnął jego zawód uczony i nadał mu inny kierunek pracy jego dla narodu. Jak obecnie, tak i w r. 1846 zaczęto węszyć jakieś spiski urojone pomiędzy młodzieżą szkólną. Władza szkólna nakazała i Hipolitowi Cegielskiemu, ówczesnemu profesorowi przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny, odgrywać rolę policyanta. Prawy, uczciwy charakter młodego profesora, odrzucił ze wzgardą tę rolę, wskutek czego usunięto go z urzędu wespół z trzema kolegami tegoż zakładu naukowego.

Ś. p. Hipolit nie upada na duchu, obiera zawód praktyczny; za namową przyjaciół: Karola Marcinkowskiego i hr. Macieja Mielżyńskiego wyjeżdża do Berlina, gdzie przez pół roku obznajmia się w składzie żelaza firmy Rawena z tą gałęzią handlu i przemysłu. Wróciwszy do Poznania, zakłada w r. 1846 dnia 1 października przy ulicy Nowej, w Bazarze z bardzo małym kapitałem, przeważnie pożyczonym od przyjaciół handel żelaza, zaczyna następnie sprowadzać maszyny rólnicze z Gdańska, opisując je z uderzającą jasnością, w stylu prostym i zrozumiałym we wychodzącym już wówczas „Ziemianinie." Niebawem zakłada ś. p. Hipolit skromny warsztacik przy ulicy Butelskiej i buduje całe maszyny, głównie maneże przy pomocy kilku ludzi. Kupuje następnie grunt, położony pomiędzy ulicami Podgórną i Kozią (tam, gdzie stanęła willa Cegielskiego) i zakłada tam fabrykę z warsztatami. Niebawem okazuje się brak lejarni, nabywa więc na własność w r. 1858 grunt przy ulicy Strzeleckiej od nauczyciela p. Rakowicza i tam buduje lejarnią. Pierwszym jej odlewem jest pomnik dla ś. p. żony naszego wielkiego przemysłowca, pomnik, stojący pierwotnie w ogrodzie wspomnianej willi, a dziś na cmentarzu św. Marcina.

Przy poświęcaniu lejarni byli obecnymi pomiędzy innymi przyjaciołmi i protektorami śp. Hipolita ihr. Andrzej Zamoyski. Wprowadzona w ruch wielka fabryka rozpoczęła w przyśpieszonem tempo wyrabiać lokomobile, kotły, przyrządy gorzelnicze i nieomal wszystkie narzędzia i maszyny rólnicze.

W roku śmierci profesora dr. H. Cegielskiego, w r. 1868, w dniu 30 listopada, pracowało już w fabryce przeszło 200 ludzi. Po zgonie naszego wielkiego przemysłowca główne kierownictwo fabryki objął znany obywatel, mąż również uczony, śp. Władysław Bentkowski, opiekun małoletnich Cegielskich, mając do pomocy świeżo zmarłego Juliana Suszczyńskiego.

W r. 1880 przejął na własność fabrykę i jej zarząd dzisiejszy poseł szambelan Stefan Cegielski i rozszerzył ją do większych jeszcze rozmiarów, zatrudniając w pracy fabrycznej blizko 400 ludzi i zawięzując stosunki z Król. Polskiem, gdzie w Warszawie własny skład założył, oraz z Rosyą i Rumunią.

Chcąc fabrykę więcej jeszcze rozwinąć i oprzeć ją na większych kapitałach, miał zamiar zamienić ją w r. 1886 na Towarzystwo akcyjne. W tym celu konferował z ś. p. prezesem Koła polskiego w sejmie, Władysławem Taczanowskim z Szypłowa i ś. p. Bolesławem Potockim z Będlewa. Dobry ten pomysł nie wszedł w życie, gdyż wspomnieni obywatele ziemscy i kapitaliści zajęci byli zakładaniem Banku ziemskiego. Dopiero w r. 1899 myśl szambelana St. Cegielskiego zamieniła się w czyn — i powstało Towarzystwo akcyjne z kapitałem 1,200,000 marek.

Zakład ten położony w końcu ulicy Strzeleckiej, naprzeciw kościoła Bożego Ciała, w pobliżu bramy Dębińskiej, rokuje po połączeniu się swem z takąż fabryką N. Urbanowskiego, dawniejszą na Łazarzu, wielką przyszłość.



Fabryka narzędzi rolniczych „H. Cegielski Tow. akcyjne."

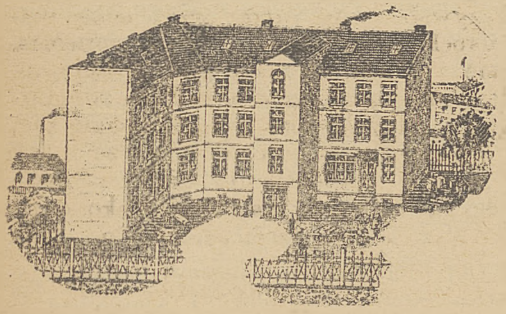
Fabryka I. Moegelina.

Między fabrykami maszyn zajmuje niepoślednie miejsce firma I. Moegelin

w Poznaniu (właściciele: Fr. Skrzydlewski i Jan Turno) założona w r. 1863. — Zajmuje się ona budową wszelkich urządzeń przemysłowych jak budowaniem kotłów i maszyn parowych, budową mostów oraz wszelkich konstrukcyi żelaznych. Specyalność jej stanowi budowa gorzelni. To też wyroby jej cieszą się ogólnem uznaniem nietylko w Księstwie, ale i poza jego granicami jak w Prusach Wschodnich, Zachodnich i na Śląsku, a i w Królestwie i Galicyi chętnych na swe wyroby znajduje odbiorców. Posiada też dużo patentów na specyalne aparaty gorzelnicze, które oprócz zastosowania ich do budowanych przez siebie gorzelni, odstawia także fabrykom konkurencyjnym w różne strony Niemiec, co pochlebnie świadczy o postępie fabryki w kierunku obranej specyalności.

Poznańska fabryka wyrobów papierowych,

(Spółka z ograniczoną poręką) przy ul. Następcy tronu nr. 43 stawia również czoło firmom obcym wyrobami tytek, papierzanych pudełek czyli kartonów i tym podobnych artykułów. Przedsię-

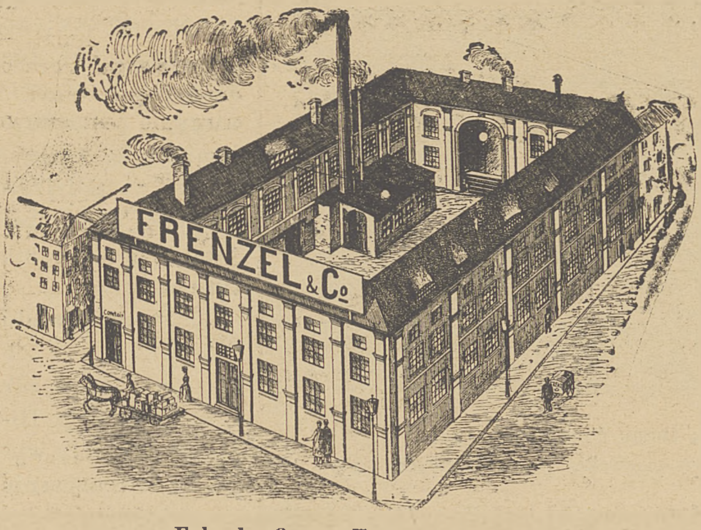


Poznańska fabryka wyrobów papierowych

biorstwem tem kierują biegli i wypróbowani fachowcy; machiny najnowszej konstrukcyi pędzi siła elektryczna, a urządzenie odpowiednie drukarskie do etykietowania umożliwia całkowite, w zakładzie samym wykonywanie zleceń na powyższe wyroby.

Fabryka wyrobów czekoladowych, cukrów deserowych i karmelków firmy „Frenzel i Ska,"

niegdyś przy głównym składzie w Rynku się znajdująca, dziś na wielką osobno urządzona miarę przy ulicach Jezuickiej i Koziej jest na całym wschodzie monarchii najpoważniejszem tej gałęzi przedsiębiorstwem, zdolnem konkurować w wyrobach swoich z pierwszorzędnemi europejskiemi firmami. Nabywszy fabrykę od spadkobierców założyciela Frenzla, właściciel dzisiajszy, dzielny rodak nasz, p. Kryszkiewicz, przekształcił ją w roku zeszłym z chlubną zabiegliwością i przemysłowością, usposabiając ją do wszechstronnej a wyborowej produkcyi. Kombinacye najrozmaitszych maszyn i aparatów, wyrabiających częścią doskonale odtłuszczoną, zdrową mąkę kakaową (z pewnością nie gorszą od najlepszych zagranicznych fabrykatów!) lub też przetwarzających kakao na czekoladę, a nie mniej urządzenia do wytworów cukro-



Fabryka firmy „Frenzel & Ska."

wych i karmelkowych, jak wogóle całość urządzenia godną jest widzenia. A tym milej oko rozgląda się we wnętrzu okazałego zakładu przemysłowego, że przy całem rozgałęzieniu, w każdym oddziale, w każdym kątku widać rzadką czystość i staranność. Coraz większy zastęp pracowników i pracownic znajduje w fabryce p. Kryszkiewicza pod firmą „Frenzel i Ska" dziś tak świetnie rozwiniętej zatrudnienie stałe i byt dobry.

W roku 1898 założono w Poznaniu pierwszą polską fabrykę tektur na dachy i przetworów asfaltowych pod firmą

Sobecki i Wrzesiński.

Fabryka ta rozwija się pomyślnie a znakomite jej wyroby wypierają wszędzie fabrykaty fabryk obcych. Mieliśmy już nieraz sposobność przekonania się o dobroci i rzetelności towarów pochodzących z powyżej wymienionej fabryki.

Oprócz tektury na dachy (papy) fabrykuje firma Sobecki i Wrzesiński rozmaite preparaty do konserwowania i renowacyi dachów papowych, papę asfaltową do izolowania fundamentów, preparaty asfaltowe i gudronowe do smarowania ścian i kadzi w gorzelniach oraz wykonuje wszelkie roboty asfaltowe jak np. kładzenie posadzek asfaltowych, izolacye fundamentów etc.

Niestety dowiadujemy się, że są pomiędzy nami tacy, którzy nie bacząc na prądy dzisiejsze, jak dawniej tak i dzisiaj, zlecenia swe oddają fabrykom obcym, a na usprawiedliwienie swego postępowania dodają, że stosunki handlowe nie chętnie się zmienia. Czy panowie ci nie wiedzą, że stosunki same się zmieniły?

Firma W. Becker

(właściciel p. M. Łukomski),

skład kolonialny przy Placu Wilhelmowskim Nr. 14 (narożnik ul. Teatralnej) skrzętnie i starannie prowadzony przez nowego właściciela, zaopatrzony jest zawsze w dobór najświeższych towarów, posiada nadto własny osobny skład cygar i papierosów, własne sklepy winne i winiarnią w przylegającej do składu głównego ubikacyi.

* * *

Na tem zamykamy opis miasta Poznania, który atoli wydamy raz jeszcze i to w uzupełnionem, książkowem, ozdobnem wydaniu z dołączeniem jeszcze liczniejszych illustracyi.

W jednym z następnych numerów „Pracy" wydamy malowniczy opis obu powiatów Poznańskich z dołączeniem karty powiatowej i z licznemi illustracyami, oraz z bardzo zajmującą treścią.



Dom, w którym się znajduje skład kolon. firmy W. Becker.

ZŁOTE MYŚLI.

Nadzieja jest jak chytry przewodnik, który wodzi po manowcach i obiecuje piękne doliny — niemasz ich, jeszcze obiecuje i wiedzie dalej; dopiero z końcem wyznaje przez usta doświadczenia, że zwodził i kłamał.

Słowacki.

Zagadkowe drzwi

Oryginalne tłomaczenie z angielskiego dla „Pracy“ przez P. Otrys.

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy).

— Nie rozumiem pana doprawdy! — zawołał Briges na dobre rozgniewany. Zdaje mi się, że chcesz mi do szczętu w głowie pomieszać. Ja i tak już nie wiem, co myśleć!

— Broń Boże! Chcę tylko, abyś uznał, że podejrzenia twoje były dotąd fałszywe i sprowadzić cię na właściwą drogę. Muszę się teraz cofnąć cokolwiek i przyjąć za pewność, że Steinworth albo Vickery mogli mieć wspólnika. Ale czemu nie miałoby tu chodzić o zupełnie inną jakąś osobę, o której dotychczas nic jeszcze nie wiemy? Jest to może ktoś, nie należący wcale do mieszkańców tego domu?

— O, ten ktoś nie byłby tak głupim, aby tracił czas na nacinanie ramy okna na wewnątrz!

— Może miał słuszne do tego powody, których nie znamy! Może uczynił to w celu zwrócenia uwagi policyi na fałszywe ślady. Byłoby to dosyć prawdopodobnem.

— Więc co mam myśleć? Co pan mi właściwie uczynić każesz?

— Chwilowo nic! Masz pan spokojnie rozważać i badać sprawę na wszystkie strony. Okno pokoju parterowego powinno ci tymczasem zupełnie wyjść z pamięci — nie odgrywa ono obecnie żadnej roli. Wierzaj mi, że zostało ono otworzonem na wewnątrz, ale jest możliwem, że złodziej lub morderca uciekł tędy — nigdy jednak nie wszedł niem do domu. Zdanie pana cenię bardzo wysoko, z małemi naturalnie wyjątkami — cenię je więcej może, niż pan sądzisz, zaręczam panu!

— W każdym razie wprowadziłeś mnie pan na manowce.

— Tylko trochę cierpliwości! Wejdziesz pan wkrótce na właściwą drogę, ale teraz dalej! Nie zwracaj wyłącznej uwagi na zbyt ciasny zakres, ale na zanadto obszerny też nie.

— Bardzo dobrze, mój drogi przewodniku, uczynię wszystko, co w moich siłach, aby iść za tobą, ale pomóż mi trochę i wypowiedz jasno i otwarcie twoje zdanie.

— Mówiłem panu, że dotąd nic pewnego nie wiem, mam tylko przeczucie, że pieniądze te znajdują się w bezpiecznem miejscu, że są dobrze schowane...

— Tu w domu?

— Tak, tu w domu! I ja odszukam je!

— Nie może być! Jakże się to zgadza z poprzednio wyrażonem podejrzeniem pana?

— Powiedziałem tylko, że mam takie przeczucie, a nie przekonanie! Przeczucie, to szósty zmysł, nie zupełnie wprawdzie jeszcze rozwinięty, ale i do tego dojdzie z czasem! Nie wierzysz mi pan? Tak jest rzeczywiście! Mnie przeczucie rzadko kiedy myli! Muszę naturalnie mieć zawsze podstawę,..

— No to życzę panu powodzenia, odrzekł Briges ironicznie.

— Dziękuję! Kto stoi na straży przed domem! zapytał Goring poważnie.

— Aż do dziesiątej Jung!

— Mogę tę noc przepędzić tutaj? Ponieważ Steinworth wyszedł, prześpię się w jego pokoju!

— Jak pan chcesz! O, ktoś tam puka, zapewne Jung, — zawołał inspektor, wyjmując zegarek.

— Zapytajmy go, co on o tem wszystkiem myśli, — rzekł Goring z uśmiechem.

— Owszem, ale on nam nic nie pomoże! Jestem przekonany, że on powie, że zbrodnia ta dlatego tylko została popełnioną, aby umęczyć policyą!

— W każdym razie nie zaszkodzi zapytać go. Słucham nieraz chętnie mądrości z ust dziecka, chociaż dziecko takie ma mundur na sobie. Jung wygląda tak, jak gdyby pędził zawsze wprost przed siebie, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo. Ale puka znowu — bardzo widocznie niecierpliwy.

Inspektor zapalił świecę i otworzył drzwi domu, a na progu stanął rzeczywiście policyant Jung, zgięty w głębokim ukłonie przed swoim przełożonym.

— Jesteś pan zmęczony i zgrzany, — zaczął detektyw uprzejmie.

— Ach, bo nie łatwa to robota, odpędzanie od domu ciekawych ludzi, — odrzekł Jung, ocierając czoło. — Nie dziw, że mi gorąco. Chciałbym tylko wiedzieć, czego ci ludzie chcą tutaj! Całemi tłumami oblegają dom. Przecież trup nie jest znowu tak czemś bardzo zajmującem!

— Masz pan słuszność — rzekł Goring. — Co zresztą myślisz o tym wypadku? Powiedz mi zupełnie otwarcie!

Jung wyprostował się jak trzcina i uśmiechnął się, dumny i zadowolony. Pochlebiało mu to niezmiernie, że sławny detektyw pytał o jego zdanie. Potem położył rękę na sercu i rzekł tonem, nie znoszącym żadnej opozycyi:

— Jestem przekonany, że ten jegomość, posiadający owe przeróżne chemikalie jest mordercą!

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Przygnębiona i zrozpaczona siedziała Alicya Rodney w swym małym, ciemnym pokoiku na poddaszu.

Z zamiarem opuszczenia domu przed wieczorem jeszcze, schroniła się tutaj zaraz po odejściu Maurycego i zaczęła pakować rzeczy. Postanowiła wyszukać sobie jakie maleńkie mieszkanko w sąsiedztwie, w któremby mogła chwilowo pozostać, pod żadnym bowiem warunkiem nie spałaby ani jednej nocy dłużej w tym okropnym domu, w którym leżał trup jej ciotki — kobiety, będącej drugą jej matką. I tej to niestety, najlepszej swej opiekunki, zatruła ostatnie godziny życia. Rozmowa z Maurycym i kłopot o niego, wzruszyły Alicyą silniej niż to okazywała i niż sama przed sobą wyznawała. Małżeństwa z ukochanym wyrzekła się już zupełnie. — Maurycy znajdował się w wielkiem niebezpieczeństwie, na nim bowiem ciężyło podejrzenie popełnienia podwójnej zbrodni! Ślub ich teraz nie mógł się odbyć, może wogóle wcale nie, bo chociaż ona gotową była stanąć z nim dziś jeszcze przed ołtarzem, to on jednak zgodzić się na to nie chciał. I gdy Alicya spokojniej nad tem rozważyła, przyszła do przekonania, że Maurycy ma słuszność. O ślubie nie można było wcale myśleć!

Ale co się z nią stać miało? Opuszczona, sama na świecie, bez przyjaciół i bez pieniędzy! Z czegóż będzie żyć? Pieniądze ciotki — dreszcz wstrząsnął jej ciałem, gdy pomyślała o niej — były stracone! Ona sama posiadała małą tylko sumę, z której kilka tygodni skromnie żyć mogła, ale co ją czeka, gdy wyda ostatni grosz? Że była jedyną spadkobierczynią ciotki, i że kosztowne dosyć umeblowanie pokoi oraz dom jej były własnością, o tem zapomniała zupełnie w swej bezmiernej rozpaczy. Wiedziała tylko tyle, że całe jej mienie składa się z 60 marek, i nie była jeszcze pewną, czy pieniądze te wolno jej nazwać swoją własnością, ciotka dała je na zakupienie rozmaitych sprawunków dla siebie.

Alicya miała wielkie zdolności do krawieczczyzny, była jednak przekonaną, że nie łatwo znalazłaby odpowiednie miejsce. Po kilku tygodniach może nieustannego biegania i szukania, przyjętoby ją w jakim magazynie, albo może i nie ze względu na dramat, jaki się rozegrał w jej domu.

Ach, w domu? Wszakże ona teraz domu żadnego nie miała!

I któż ją będzie w tem okropnem opuszczeniu pocieszał, kto doda jej sił i odwagi do zniesienia nieszczęścia?

Nikt!

Przyjaciół w Clayfeld nie posiadała żadnych, a przynajmniej nie takich, którzyby jej ofiarowali pomoc i opiekę w tem smutnem położeniu. Biedna dziewczyna była tak przygnębiona, że wszystko przedstawiało jej się z najgorszej strony. Wmawiała w siebie, że każdy ze wstrętem odwróci się od niej i drżała na myśl upokorzeń, jakie znosić będzie musiała.

Jedyną kobietą, która jej zawsze okazywała uprzejmość i serdeczność od pierwszej chwili poznania, była pani Percival, żona doktora Percivala. Ale to było dawniej, gdy Maurycy był jeszcze asystentem jej męża.

Alicya kochała Maurycego i ufała mu zupełnie, była jednak pewną, że sama stała się powodem kłopotów i przykrego położenia narzeczonego. Gdyby nie ona, gdyby nie ich stosunek, to na Maurycym nie ciążyłoby dziś żadne podejrze-

nie. On chciał ją zaślubić, chciał sobie stworzyć ognisko domowe i popadł w nieszczęście, którego uniknąć nie zdołał, a które zagrażało mu kompletną ruiną materyalną i moralną.

Nie wątpiła na chwilę o jego niewinności, wiedziała, że nie miał żadnej styczności z zbrodnią, której ofiara leżała tam, na dole, tuż prawie pod jej stopami, na łożu śmiertelnem. I serce dziewczęcia zamierało nieomal z przerażenia na myśl, co się tu działo w nocy, podczas kiedy ona spała. Dlaczego nie słyszała najmniejszego szelestu? Dlaczego nie zbudziło jej nic, oprócz głośnego dzwonienia i pukania policyanta? Nigdy w życiu nie będzie mogła zapomnieć przerażenia, jakie ją ogarnęło na widok trupa! Nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnie straszliwego! Był to pierwszy trup, na jaki dotąd spojrzała, i którego nawet, nie przeczuwając nic złego, dotknęła! Ach biedna ciotka, jak okropnie była zimną!

Od czterech godzin już znajdowała się w swoim pokoiku, wkładała mechanicznie bieliznę i suknie do kuferka i znowu je wyjmowała, a myśli jej błądziły zupełnie gdzieindziej. Nie wiedziała wcale, co robi. Ręce zajmowały się czynnością, o której wcale nie myślała, i mimowolnie zdumiała, gdy wieczór się zbliżył i w pokoju zwolna ciemność zapadać poczęła. I tak nadeszła noc, okropna, tajemnicza noc, opiekunka złych czynów i złych ludzi, noc, przepełniająca serce Alicyi szalonym strachem, jakiego dawniej nigdy nie znała!

Nie mając odwagi poruszania się, usiadła na kuferku i zapomniała nawet o zapaleniu lampy. A gdy nareszcie wstała, aby ją zapalić, przyszło jej na myśl, że lampy nigdy tu nie miała, i że świecę zostawiła dziś rano w sieni. Ale iść po nią nie mogła, musiałaby bowiem przejść koło pokoju, w którym leżała jej ciotka. Nie, za nic w świecie! Lepiej już zostać tu w ciemności...

Czy przeżyje tę noc straszliwą?

W końcu jednak zebrała całą swoją odwagę i podniosła się, ale zaraz potem upadła na krzesło, i głośnym wybuchnęła płaczem. Przecież miała jeszcze obowiązki względem zmarłej ciotki, ale w jaki sposób obowiązki te spełnić? Jutro rano wyniosą ciało do trupiarni — a więc tak, jutro przyjdzie tu raz jeszcze, byle dziś wydostać się ztąd jaknajprędzej! Dziś nie mogłaby zejść na dół, jutro pewnie będzie odważniejszą i zapomni o szalonym strachu, jaki obecnie ogarnia całą jej istotę! Nieszczęśliwa dziewczyna podparła głowę na rękach i pogrążyła się w smutnych myślach.....

Nagle dało się słyszeć na dole głośne wołanie:

— Panno Alicyo! panno Alicyo!

— Dziewczę zerwało się przestraszone i pobiegło ku drzwiom. Na schodach, na dole stał ktoś z zapaloną świecą w ręku.

— Jestem tu — szepnęła cicho.

— Zejdź pani, proszę!

— Ach, doktor Percival — zawołała z uniesieniem radości. Zdawało jej się, że straszny ciężar spadł jej z serca — przyjdę natychmiast!

Wróciła szybko do pokoju, umyła twarz i oczy zimną wodą i wziąwszy okrycie i kapelusz, zbiegła ze schodów. Na dole stał zawsze jeszcze doktor.

— Chciałbym z panią pomówić — rzekł łagodnie, idźmy do saloniku.

Przechodząc koło jadalnego pokoju, spostrzegła tam światło i usłyszała męzkie głosy, domyśliła się więc zaraz, że urzędnicy policyi są w domu. Metcalf powiedział jej poprzednio, że sprawą tą zajmie się sąd i że ciało zmarłej wywiezionem będzie jutro do trupiarni, więc nie zostawało jej wiele czasu do wypełnienia ostatnich obowiązków względem ciotki! Bądź co bądź czuła się teraz o wiele odważniejszą — pierwsza, najgwałtowniejsza rozpacz minęła, i była przekonaną, że mężniej zniesie wszystko złe, jakie ją prawdopodobnie jeszcze czeka. Pozbyła się też nagle owego szalonego, dziecinnego strachu, jaki ją ogarniał przed chwilą na myśl, że w domu leży trup, i nie mogła pojąć, czego właściwie tak się lękała.

— Słuchaj pani — zaczął doktór Percival, — tu w domu nie możesz pozostać chwilowo! Wybacz, że się mieszam do twoich spraw, ale pod obecnemi warunkami muszą ustąpić wszelkie ceremonie i trzeba nam się kierować wyłącznie rozsądkiem!

— Ach, panie doktorze, jestem ci tak nieskończenie wdzięczną, że nie zapomniałeś o mnie! Nie umiałabym wcale dać sobie rady!

I znów stanęły łzy w jej ślicznych, dużych oczach, ale były to łzy prawdziwej wdzięczności.

— Przychodzę więc z poleceniem od mojej żony, — mówił doktor dalej. — Chce ona koniecznie, abyś pani zamieszkała u nas dopóty, dopóki nie uradzimy czegoś o twej przyszłości. Cieszę się, że zabrałaś zaraz okrycie i kapelusz — po resztę rzeczy przyślemy później. Pójdź pani teraz ze mną!

Na bladą twarzyczkę Alicyi wystąpił lekki rumieniec radosnego wzruszenia.

— O Boże, — szepnęła, — więc nie jestem jeszcze zupełnie opuszczoną! Mam przyjaciół, którzy mną się opiekują!

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

— Jesteś pan oczywiście nierozsądnym człowiekiem — mówił doktor Percival do Maurycego, gdy obydwaj tegoż dnia wieczorem siedzieli w pokoju doktora.

— Widzę, że pan masz słuszność — odrzekł Maurycy przygnębiony. — I wstydzę się, że przyznać to muszę.

Wyraz twarzy młodego lekarza był tak rozpaczliwie smutny, że budził litość wszystkich, którzy go dziś widzieli.

— Zdaje mi się — zaczął Percival znowu — że powinieneś był zupełnie być zadowolonym z miejsca, jakie zajmowałeś u mnie. Później miałeś zostać moim wspólnikiem. Przestrzegałem cię zawsze, abyś nie zaczynał w Clayfeld praktyki na własną rękę, a pomimo to, osiedliłeś się jako samodzielny lekarz i urządziłeś mieszkanie za pożyczone pieniądze. Moje życzliwe rady wręcz przeciwny odniosły skutek!

— Ach, nie gniewaj się pan! — prosił Maurycy, składając ręce. — Myślałem, że prędzej dojdę do celu — chciałem jaknajrychlej dorobić się jakiegoś funduszu, bo — pragnąłem zaślubić Alicyą!

— Alež panie, czy to nie szaleństwo, zaczynać gospodarstwo od długów?

— Mówiłem sobie: Clayfeld powiększa się z każdym dniem prawie, miałem więc nadzieję, że i praktyka moja musi się zwiększyć. Ale — omyliłem się! Jestem, jak pan słusznie twierdzisz, nierozsądnym człowiekiem i muszę teraz za to pokutować.

— No, dajmy temu pokój, nie chcę pana więcej dręczyć, bo i tak już dosyć masz przykrości. Powiedz mi pan jednak, czemu nie przyszedłeś do mnie, gdy byłeś w kłopotach pieniężnych? Zresztą teraz dopiero dowiedziałem się o tem, w jak przykrem jesteś położeniu!

— A ja myślałem, że całe sąsiedztwo wie o tem, — szepnął Maurycy z gorzkim uśmiechem.

— Naturalnie, bo wszystko przedstawia ci się z najczarniejszej strony. Nie bierz mi za złe, mój panie kolego, ale jesteś strasznie obraźliwy. Czemu więc nie przyszedłeś do mnie?

— Nie śmiałem... bo wiedziałem, że postąpiłem bardzo niewłaściwie względem pana.

— Ale ja nie jestem mściwy — znasz mnie pan dosyć. Powiedz mi, jak wysoką jest w rzeczywistości suma, którą pożyczyłeś?

— Wziąłem od pewnego żyda dziesięć tysięcy marek, które mi dał pod bardzo ostremi warunkami...

— A ile z tych dziesięciu tysięcy otrzymałeś gotówką?

— Niespełna sześć!

Percival załamał ręce.

— Ile? — powtórzył, jakgdyby nie był dobrze zrozumiał.

— Tak, tak jest istotnie! Niespełna sześć tysięcy, — szepnął Maurycy, spuszczając oczy. — Musiałem wystawić dziesięć weksli, z których każdy brzmiał na tysiąc marek. Co kwartał był jeden z nich płatnym, cała suma miała więc być spłaconą w półtrzecia roku, a gdybym raz tylko zapłacić nie mógł, wtedy wypowiadanoby mi odrazu wszystko... Pierwsze tysiąc marek zebrałem z łatwością...

— A resztę? Wpadłeś pan w ręce prawdziwej pijawki!

— Zapłata drugiego weksla sprawiała mi już pewne trudności, trzeci zapłaciłem tylko do połowy — mój wierzyciel przedłużył mi chętnie termin! Ale na czwarty weksel nie miałem już ani grosza i prosiłem znowu o zwłokę... Odpowiedzią na moją prośbę był komornik sądowy, który przyszedł, aby opieczętować meble... Wyrzuciłem go z pokoju...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Widzi imość, że was znam i to od jesieni, jakżeż się wtenczas z imością skończyło?

Pani Katarzyna rozpłakała się ciężko, wycierała oczy chustką i nie dawała odpowiedzi. Zapytanie pana Stanisława dotknęło ją ciężko, potrąciło ono o krwawą jej serca ranę, którą czas nie wydołał zgoić.

— To nie dobrze panie, szydzić sobie z ludzkiego nieszczęścia — mówi wśród łkania.

— A niech mnie Bóg broni od tego, bym sobie miał szydzić — ani mi na myśl nie przyszło, żebym panią mojem zapytaniem obraził, niechno pani nie płacze, przecieśmy tu ludzie, i umiemy się litować nad cierpieniami drugich.

Pani Katarzyna pocieszona przez pana Stanisława, usiadła na stołku, otarła łzy i poczęła opowiadać swoje przygody. Opowiadała o swoich cierpie iach kaziennych, o urzędniku, który protokół z niej ciągnął, o kaźni brudnej i zimnej, wreszcie z spuszczonemi do ziemi oczyma mówiła o chłoście, jaką ją karano, mówiła z taką żałością, z takim niewieścim wstydem, i takie cierpienie malowało się na jej twarzy, że słuchającym łzy w oczach stawały z współczucia.

— Od czasu skorom wyszła z aresztu nic mi się nie wiedzie, jakby kara boża na mnie ciężyła; pogniła mi w piwnicy pietruszka i marchew, na dzień nie utarguję złotówki, trzeba płacić na Franciszkańskiej procenta, wlekę się z biedą i wlekę i nic nie mogę poradzić. Dałam Wojtka do krawca i z tem mi nie poszło, popsuł kamizelkę, pantalony i surdut i wyścigał go majster.

— Mości dobrodzieju, niech no imość nie narzeka tak bardzo, Pan Bóg nad nami i jakoś to będzie — powiedział pan Mateusz, łagodząc żale pani Katarzyny.

Pani Katarzyna była rozżalona bardzo i nie można ją było utulić.

* * *

Pan Mateusz Gruszka przyjął do terminu Wojtusia, pani Katarzyna była uradowana wielce tem przyjęciem, pozbyła się bowiem z głowy jednego wielkiego kłopotu. Na odchodnem dała Wojtusiowi kilka napomnien, kilka nauk dobrych, pocałowała go w nos brudny, dygnęła solennie obecnym i wyszła.

Pan Mateusz, mości dobrodzieju, był to majster nad majstrami, a co więcej, było to sobie poczciwe człeczysko. U niego czeladź musiała wprawdzie pracować od świtu do nocy, ale za to żywił ją dobrze i płacił sumiennie, zaś w niedzielę i święta był u niego każdy od roboty wolny i byłby oberwał po skórze, ktoby z własnej ochoty chwycił za kopyto. Bywało czasem i w poniedziałki jak wymiótł, tak nie ma nikogo w warsztacie, p. Mateusz za to ani palcem na nikogo nie kiwnął; mości dobrodzieju, mówił, niech poniedziałkuje wiara, byleby we wtorek każdy był w szeregu.

Pan Mateusz zgadzał się we wszystkiem z wolą Opatrzności i był z swojej doli zadowolony zupełnie. Pod jednym względem nie wygodziła mu Opatrznaść i z tych powodów sarkał nieraz na nią.

Oto w chwilach rozwolnienia serdecznego, w chwilach, w którychby się człowiek z śmiertelnego grzechu wygadał, wychodził pan Mateusz na jaw z swojemi skargami.

Nieraz bywało po drugim kieliszku anyżówki, pan Mateusz odplunie i krząknie i wąsa podkręci.

— Mości dobrodzieju — mówił — wszystko jest dobrze na świecie, tylko z tem się nie zgadzam, żem nie kapitanem. Po trzecim kieliszku anyżówki, chciało się panu Mateuszowi awansować nawet aż na pułkownika, czasem kiedy mu się zdarzyło przelać zwykłą „miarkę“ widział się w istocie przywiązanym do długiego pałasza, wyciągał go z pochwy i prowadził do szturmu kompanię, atakował nieraz tak siarczyście, że szyby powybijał w oknach; w takich razach wewnętrzne jego zadowolenie przechodziło wszelkie zwyczajne granice, on kapitan tak był szczęśliwy z godności, jaką piastuje, żeby się swem szczęściem z całym światem był dzielił i ściskał każdego, kto mu się pod ręce nawinął, całował i błogosławił swoich podkomendnych i zachęcał do naśladowania siebie.

Terminatorowie znali dobrą pana majstra naturę. Skoro tylko pan majster o kapitaństwie zamarzy, staje przed nim jeden i drugi w ordynku i prostują się i wyciągają głowy do góry, co najtęższy wysunie się naprzód i salutuje poważnie; pan Mateusz wyciąga z kieszeni dwa grosze i nagradza jego służbistość. Czasem mądrzejszy z chłopców krzyknie mu nad uchem: panie pułkowniku! takiemu bywało oberwie się nieraz i cała złotówka i jest wolny na trzy dni od obozowej służby.

Terminatorowie u pana Mateusza mieli święte życie; żadnemu z czeladzi nie wolno ich było kułakować i szturkać, wszelkie przestępstwa przeciw dyscyplinie, domowemu porządkowi, wszelkie zakłócenie publicznego bezpieczeństwa, wszelkie wykroczenia przeciw jednemu z przykazań kościelnych, karał pan Mateusz sam, własną ręką i własnym pocięglem i nigdy nie przepuścił kary.

— Terminatorowie u pana Mateusza musieli pracować dzień cały należycie i jak Bóg przykazał, ale nikt ich nie śmiał obładowywać robotą, albo się męczyć nad nimi. Ustanowione były dla nich szczegółowe przepisy i prawa, w których pan Mateusz jako dobry majster, nie przepomniał najmniejszej drobnostki, a które najściślej pod zagrożeniem sprawiedliwej kary zachowane być winny.

W tych przepisach stało, że wolno jest każdemu terminatorowi przy robocie wygwizdywać i śpiewać ile mu się podoba, po robocie wolno mu skakać, wywracać koziołki i patynkami podrzucać, byleby każdy miał nos swój i cudzy na szczególnej uwadze.

Wojtuś z początku nieśmiały, poznał po kilku godzinach cały porządek domowy, od terminatora sąsiada nauczył się dokładnie regulaminu swoich obowiązków, wypytywał się dokładnie o wszystko co czynić a co zaniechać wypada, począł wygwizdywać i śpiewać, po skończonej robocie latał jego patynek najwyżej w powietrzu, wieczorem tytułował pana majstra swoim jenerałem, dostał dziesięciogroszówkę i nakupił jabłek.

W nocy śniły mu się buty, kopyta, patynki, jenerał i dziesięciogroszówka, był kontent we śnie tak jak i na jawie, do butów powziął wielką predylekcyę.

V.

W kawiarni pod „Różą“ siedział pan Stanisław; obstąpiło go kółko młodych ludzi; rozmawiali ze sobą krzykliwie i głośno.

Ucichła rozmowa; do pana Stanisława zbliżył się niemłody mężczyzna. Był to ten sam, któregośmy już w towarzystwie jego poznali; skinął na Stanisława, wziął go za ramię i zaprowadził pod okno, zkąd obecni nie mogli usłyszeć ich cichej rozmowy.

Rozmowa trwała krótko. Kiedy się skończyła, Stanisław był blady jak chusta, chwiał się chwilę jakby niepewnością szarpany, przykładał rękę do czoła i powiedział:

— Do widzenia się z tobą bracie, nastąpiło co miało nastąpić — uścisnął towarzysza za rękę i wyszedł.

Była to zima, był to miesiąc luty. Śnieg zalegał miasto i stroił je biało, mróz ściął wstęgę Wisły w długie szklane zwierciadło. W powietrzu świegotały wróble i głodne krakały wrony, drzewa miastowych ogródków miasto liści zielonych biały szron okrywał.

Smutno i mroźno było na bożym świecie; zima ta niedobra macocha ma pierś lodowatą, nikogo nie przytuli do tej piersi, której brak ciepłej miłości.

Pan Stanisław chodził ze spuszczoną głową i załamanemi rękami ulicami miasta, przysypał go śnieg biały, on nie czuł zimnego śniegu, czasem stawał nieruchomy na miejscu i nie czuł potrąceń przechodniów, ludzie poglądali zdziwio-

nemi oczyma na niego i mieli go za człowieka dotkniętego obłędem.

Zapadła noc; blady księżyc wyzierał z za chmury, złote gwiazdki migotały na niebie, miastu na sen się zabierało, cichło i cichło powoli, coraz mniej ludzi przechodziło ulicami, coraz mniej było słychać gwaru; snuły się gęstsze patrole sołdatów obchodzących ront nocny; przy świetle ulicznych latarni błyszczały bagnety.

Pan Stanisław szedł wolnym krokiem na Pragę, przeszedł most i zwrócił pod domek w ogródku; tam Marya mieszkała.

W oknie jej pokoiku błyszczało światło. Pan Stanisław patrzał wytężonem okiem i zaoczył cień twarzyczki dziewczęcia rysujący się na białym muślinie firanki. Po chwili cień zadrżał, dziewczę przystąpiło do okna, podniosło główkę i patrzyło w niebo i w gwiazdki złociste i panu Stanisławowi zdało się, że usłyszał ciche westchnienie. Wyciągał ręce jakby niemi chciał to westchnienie uchwycić i tak mu w piersiach tłukło się serce, że słychać było jego gorączkowe bicie.

Cień Maryi zsunął się z okna, światło w jej pokoiku zagasło, ona do snu się układła. Stanisław oparł gorące czoło o zimne sztachety i myślał o Maryi.

Ona teraz zasypia, ją mary jasne do snu kołyszą, mną pomiata burza. Czy ona myśli też o mnie, czy ona przeczuwa moją boleść krwawą?

Co będzie kiedy ja ją rzucę? czy ona może wnet o mnie zapomni? czy będzie po mnie tęskniła czekając mojego powrotu?

O Maryo! aniele mojego życia, ty nie wiesz jakaś ty mi droga, może ty sobie pomyślisz, że ciebie nie kocham, i będziesz na mnie wyrzekać?

Maryo! ja żegnam ciebie, może do ciebie powrócę a może już mnie nigdy nie zobaczysz więcej; może, może wnet po mnie i ślad zaginie, a nikt nie powie tobie gdzie są moje kości. Żal mi bardzo, że muszę tak ciebie porzucić, żal mi i ciebie i siebie. Gdybyś ty wiedziała co się w mem sercu dzieje tej chwili, zapłakałabyś gorzko nademną. — Stanisław zapłakał jak dziecko, żegnał on tej chwili najpiękniejsze nadzieje swojego życia; jedyne te nadzieje swojego życia; jedyne te nadzieje kołysały go nieraz do szczęsnych marzeń, upiększały mu życie, czyniły je uroczem; teraz on sam te nadzieje w grób zagrzebywał, boleść wielka pomiatała jego duszą, porzucał tę, którą jedyną nadewszystko ukochał.

Wlekły się leniwo długie godziny nocy, Stanisław stał z opartą o sztachety głową, przysypany śniegiem, podobny do białego posągu.

Gwiazdy poczęły znikać, jedna po drugiej z błękitu, na wschodzie począł blady ranek świtać, miasto budziło się ze snu, ztąd i z owąd było słychać oddalone głosy, ludzie pracy wychodzili z domów udając się do dziennych zatrudnień, kobiety wiejskie pospieszały na miejsce sprzedaży z nabiałem.

Zbudził się pan Stanisław, potrząsł głową, westchnął z głębi piersi, popatrzył jeszcze raz ku oknu, żaden cień się w niem nie ukazał, słuchał z natężoną uwagą, cisza tam była za tem oknem i żaden głos pożegnania nie doszedł do naprężonego jego słuchu. Powiedział cicho: Maryo bądź zdrowa!

Za idącym w miasto Stanisławem szedł krok w krok wysoki, płaszczem owinięty mężczyzna; był zasypany śniegiem i trząsł się od zimna, nie można było poznać rysów jego twarzy, osłonionej po oczy wysokim kołnierzem płaszcza, był wzrostu wysokiego, zbudowany silnie; stąpał cicho po śniegiem przysypanym bruku i nie można było dosłyszeć kroków jego, trzymał się w pewnem od Stanisława oddaleniu, krył się za rogi i wystawy domów, unikając przypadkowego jego spojrzenia.

* * *

Stanisław przyszedłszy do siebie, zawołał chłopaka Michałka i kazał mu pakować rzeczy do drogi.

— Ja pojadę z panem? — spytał chłopak.

Stanisław popatrzył mu w oczy, w tych oczach malowało się przywiązanie do swego chlebodawcy, w twarzy jego malowała się poczciwość.

— Chcesz ty ze mną jechać Michale?

— Jakże by to było, żeby pan bezemnie pojechał.

— Tym razem pojadę daleko, bardzo daleko.

— Choćby i na koniec świata.

— W tej podróży możesz zażyć biedy.

— Albo to nie mało zażył jej już człowiek.

— Zastanów no się Michale, żebyś nie żałował potem, kiedy już nie będzie można wrócić.

Michał patrzał na swego pana i nie mógł zrozumieć o co to rzecz chodzi, pan Stanisław wytłómaczył mu, że opuszczają Warszawę na długo, udając się w podróż niebezpieczną i zmudną.

Michał pobladł trochę, rozpłakał się i chwycił pana za nogi, prosząc, by go zabrał z sobą.

— Gdzie pan będzie, niechże i ja tam będę; pan był zawsze dobry dla mnie, toć ja pana nie opuszczę teraz.

Michał ściągał rzeczy i pchał w tłumoki i kufry.

— Co ty robisz? — pyta pan Stanisław.

— Jużcić pakuję na drogę.

— Rozpakuj to nazad. Weźmiesz ten mały mantelzak z komody, dla mnie włóż trochę bielizny i nic więcej, dla siebie także cokolwiek bielizny, nadto nic nie bierz ze sobą, bo bym ci powyrzucał wszystko. Michał kiwał głową i robił jak mu kazano. Pan Stanisław rozebrał się z rzeczy co miał na sobie, nogi owinął miękkiem płótnem i wdział na nie mocne podróżne buty, na siebie wdział opięty tużurek a na niego zarzucił płaszcz długi, ciepły, wygodny.

— I dla ciebie, Michale taki płaszcz kupiłem, ja wiedziałem, że ty mnie nie porzucisz.

Michał zajrzał do szafy i dobył z niej ciepły, nowiusieńki płaszcz sukienny. Michał, miastowy służący, lubiał galanteryą, zaświeciły mu zadowoleniem oczy na widok nowego, sukiennego płaszcza.

— Ba, kiedy mnie w nim Franka widzieć nie będzie — pomyślał po chwili i posmutniał na wspomnienie Franki.

Gdy już wszystko przygotowane było w ten sposób, siadł pan Stanisław przed zielonem biurkiem, dobył z szufladki ćwiartkę wonnego, listowego papieru i pisał po krótkim namyśle:

„Maryo! wtajemniczona jesteś w powody, które mnie zmuszają do opuszczenia ciebie. Ciężką walkę przeszedłem sam z sobą nim się nakłoniłem do uczynienia tego kroku. Opuszczam cię z rozpaczonem sercem, jedyna nadzieja, że kiedyś znowu do ciebie powrócę, dodaje mi siły. W szczęśliwych chwilach mawiałem ci nieraz jak mi drogą jesteś. Twój obraz będę nosił zawsze w mojem sercu, myśl o tobie nie odstąpi mnie nigdy. Maryo! dochowaj mi wiary, tak jak ja przyrzekam tobie ją dochować. Oczekuj mojego powrotu, czy później, czy rychlej nastąpi on pewnie. Jeżlibyś czuła żal jaki do mnie z powodu mojego z tobą rozstania, wspomnij sobie nieboszczyka twego ojca, który uczynił to samo, co ja uczynić zamierzam. Unikam osobistego pożegnania z tobą, chcąc sobie i tobie boleści umniejszyć. Kiedy tę kartkę otrzymasz, mnie już nie będzie w Warszawie. Żegnam cię więc Maryo! bądź zdrowa!“

Pan Stanisław ukończywszy list, wsunął go w kopertę zapieczętował i napisał na kopercie: „Do mojej Maryi.“ Kazał się potem Michałowi zabrać i wziąść mantelzak na plecy, wychodząc pozamykał pomieszkanie i zabrał klucze ze sobą.

Na pożegnanie wstąpił Stanisław do pana Mateusza Gruszki. Pan Mateusz był w warsztacie i zelował buty, patrzał na miłego gościa szerokiemi oczyma i przywitał go ulubionem swojem: Mości dobrodzieju.

— To już? — pytał tajemniczo.

— Już.

— Tak, z gołemi rękami.

— Z gołemi.

Czeladź porzucała z rąk robotę i obstąpiła Michała.

— Dokąd to się twój pan wybiera? — pytali.

Michał odpowiedział jak umiał.

— I ty pójdziesz z panem?

— Jużcić, że go nie porzucę.

Wszyscy poglądali na niego z zazdrością, i ich ciągnęło do podróży.

Pan Stanisław oddał panu Mateuszowi klucze od pomieszkania, polecił mu uważać na nie. Pan Mateusz sumitował się, że wykona polecenie najściślej. Wreszcie dobył pan Stanisław list dopiero co pisany i prosił o jego odesłanie.

— Na Pradze mieszka — mówił — kamieniczka piętrowa z ogródkiem, nad Wisłą.

— To zaniesie Wojtuś. A trafisz tam Wojtek? — zapytał pan majster.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika.

Jeden z dowcipnisiów powiedział kiedyś, że armata to dziura oblana mosiądzem. Polityka zaś, zdaniem drugiego dowcipnisia, jest to daleko większa dziura, otoczona takiemi pomniejszemi, które są oblane również mosiądzem. Otóż świat polityczny w tej chwili przedstawia tak przeraźliwie rozszerzoną i otchłanną pustkę, że nawet prawdziwie biegły dziennikarz, potrafiący pisać de omnibus rebus et quibusdam aliis, trze czoło znojnym potem zroszone, namyślając się, co można powiedzieć o tak w gruncie rzeczy nikłym przedmiocie, jakim jest wszelka dziura?

Na szczęście mnie polityka nic a nic nie obchodzi i co najwyżej, gdy mi zbraknie materyału do kroniki chwytam się polityki i łatam dziurę kronikarską dziurą wyżej opisaną.

Na nieszczęście jest to taki czas, gdzie i kronikarz nie ma obfitego żniwa, albo przynajmniej takie żniwo, jakie ma dziś każdy przeciętny i przyzwoity rolnik — to jest ma żniwo marne. Bo w chwili, kiedy rząd chce rozdawać zapomogi, czyli w tysiącznej części oddać to, co z kieszeni obywatelskiej wziął, obowiązkiem przyzwoitości jest zgłosić się do rządu.

Obawiam się tylko, że kieszeń się nie oberwie od tej zapomogi i dziury w niej nie będzie.

Kronikarz ma liche żniwo, bo i pani „fama“, która mi zwykła była podszeptywać interesujące wiadomości, przeraziła się upałów i uciekła niespodzianie do wód, nie zostawiając mi nawet swego adresu.

Przypuszczam jednakże, że ta dama, chociaż jest pod pewnym względem międzynarodową — lecz nabrała charakteru polskiego przez dłuższy wśród nas pobyt, nie pojechała do niemieckich wód, tylko udała się do uzdrowisk polskich. Nasza pani „fama„ wcale też do niemieckich wód jeździć nie potrzebuje, bo tam jej kuzynka „Klatschbase“ szeroko się rozpiera, wyprawia Klatschkawy i robiąc pończochy, pilnie notuje wszystkie zdarzenia miejscowe.

Lecz żart na stronę. Zastanawiam się powtórnie nad tem, dlaczego nasze uzdrowiska galicyjskie tak mało się reklamują w pismach polskich pod zaborem pruskim, dlaczego nie mają prospektów i nie rozsyłają ich, dlaczego tak mało dbają o przyciąganie gości?

Doprawdy podziwiać trzeba tę obojętność, powiedziałbym niedbałość tych naszych uzdrowisk.

Zastanawiam się, lecz przyczyny dojść nie mogę, może dlatego, że afrykański upał przytępił bystrość mego umysłu. Wśród tego upału i wobec tej bezradności przestaję się zastanawiać — punktum.

Acer.

† Nekrologia.



Ś. p. X. Aleksander Jordan.

Dnia 13-go b. m. zasnął w Bogu po krótkiej, ciężkiej chorobie, opatrzony św. Sakramentami, ś. p. X. Aleksander Jordan, proboszcz w Niepruszewie, asesor dekanalny.

Urodzony w roku 1832, święcenia kapłańskie otrzymał 1857 roku a od r. 1865 był duszpasterzem w Niepruszewie. Zmarły był wzorowym kapłanem i gorącym patryotą. R. i. p.

* * *

S. p. Kazimierz Koszutski,

redaktor „Ziemianina“, długoletni sekretarz Centralnego Towarzystwa Gospodarczego i Towarzystwa Urzędników Gospodarczych w Wielkiem Księztwie Poznańskiem, zmarł 13 b. m. w Pińczowie, w gubernii kieleckiej, dokąd niedawno był wyjechał. R. i. p.

Wiadomości.

Portret Patrona Maksymiliana Jackowskiego wykonany artystycznie na kartonie — mogą Czytelnicy nasi nabyć z Ekspedycyi naszej za nadesłaniem 50 fen.

Prosimy adresować: „Praca“ Poznań (Posen.)

— ***Baczność! Nowo przybyli abonenci otrzymają bezpłatnie prócz początku drukujących się powieści wszystkie te numery „Pracy,“ w których dotychczas zamieszczony był malowniczy opis Wielkopolski, jeżeli nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy oraz znaczek 20-to fenygowy na portoryum.***

— **Drobne** inserata czyli ogłoszenia przyjmujemy tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości z góry.

Administracya „Pracy.“

— **Spisy wyborcze** obywateli uprawnionych do wyboru radnych miejskich wyłożone są w mieście naszem do 30 b. m. w starym ratuszu sali B. Przeglądać je można od 9—1 i od 3—6 po południu. Niechże każdy obywatel przekona się, czy w spisach jest pomieszczonym, w przeciwnym razie trzeba reklamować, przedkładając w danym razie poświadczenie od komisarza. Wiadomo, ile set nazwisk opuszczono w spisach wyborców parlamentarnych. Niech to będzie przestrogą dla opieszałych!

— **Bawarski „Vaterland“** (nr. 152) powtarza znany list, wystósowany przez p. *Treskowa* z Radojewa do „Kölnische Volksztg.“, potępiający politykę hakatyzmu, i nazywa obecną politykę antipolską: *brutalnością, zbrodnią przeciw prawu przyrodzonemu i przeciw moralności.*“

„Vaterland“ jest pismem codziennem, wychodzącem pod redakcyą znanego dr. Sigla w Mo-

nachium przy ulicy Hans Sachsstr. nr. 2. Kosztuje półrocznie 2,56



Dr. Sigl.

mr. Abonować je można na wszystkich pocztach.

— **Z miasta**, 18 lipca. Dnia 21 lipca obchodzić będą państwo Melchiorostwo Biedermanowie 50-letni jubileusz małżeński. Pan Melchior Biedermann jest synem radzcy i notaryusza sądowego ś. p. Józefa Biedermanna z Gniezna, pani Teodora z Lewandowskich córką kupca ś. p. Franciszka Lewandowskiego z Gniezna.

Pan Melchior jest skromnym, pracowitym obywatelem, znanym i lubianym w szerokich kołach. Mieszka przy ulicy Wodnej nr. 15 już od 45 lat, wychował ośm córek i jednego syna, z tych pięć córek jest zamężnych.

— **Od p. dra Kaźmierza Rakowskiego** z Krakowa odbieramy następujące pismo:

W rozprawie sądowej, dotyczącej akademików polskich, odgrywał pewną rolę jakiś artykuł „Przeglądu Wszechpolskiego", którego autorstwo rzekomo mnie (przez akt oskarżenia?) przypisane było.

Oświadczam niniejszem, że do *„Przeglądu Wszechpolskiego"* nigdy wogóle nic nie pisywałem, żadnego artykułu lub korespondencyi nie ogłaszałem, *a z redakcyą tego pisma wogóle żadnych nie mam stosunków.*

Z poważaniem

Dr. Kaźmierz Rakowski.

— **Na ogłoszenie** młodego i przedsiębiorczego rodaka p. I. W. Nowaka w Pr. Starogardzie, polecającego swą księgarnią, zwracamy baczną uwagę Szanownej Publiczności Prus Zachodnich.

— **Bank ziemski** w Poznaniu przy ulicy Wiktoryi nr. 2 przyjmuje na procent wkładki i oszczędności od 100 marek począwszy i płaci za 3-miesięcznem wypowiedzeniem 4 %, za 6-cio tygodniowem 3 i pół %.

— **Dla malarzy** specyalny handel p. I. Nowakowskiego w Kobylinie zaopatrzony jest w wszelkie artykuły malarskie po najniższych cenach. Nadto poleca p. N. łaskawym względom Publiczności swój handel towarów kolonialnych, żelaznych, tytuniu, cygar i szkła.

— **Firma** W. Cybiński w Krotoszynie ma na składzie w wielkim wyborze: paloną kawę, herbatę chińską, czekoladę, kakao, likiery, koniaki, rumy i araki oraz wody mineralne.

— **Dobra sposobność** osiedlenia się dla rodaka, któryby chciał założyć handel cygar, nadaje się w większem mieście prowincyonalnem. Bliższe szczegóły udzieli Red. „Gaz. Bydgoskiej."

— **Na fundusz** imienia Janiny Omańkowskiej złożyli w dalszym ciągu pp. N. Lesiński, Zimkowski i Pawłowski z Raszkowa 4 mrk. 20 fen.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 453 mrk. 42 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc" 403 mrk 19 fen., pozostaje zatem u nas 50 mrk 23. fen.

— **Mogilno.** Posiadłość Gościeszynek nr. 20, powiat Żniński, nabył od p. Józefa Starka w Mogilnie p. Jan Skrobacki z Palczyna.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Poznań-Wilda.** Towarzystwo Robotników polsko-katolickich na Wildzie urządza w dniu 21-ym b. m. (w razie niepogody w dniu 28-ym b. m.) swą pierwszą zabawę latową w ogrodzie p. Przybylskiego w St. Domingo — przy drodze do Dębiny i prosi Szanowną Publiczność o łaskawe poparcie. Początek zabawy o godz. 4-tej po południu. Wstęp 30 fen. od osoby. Zarząd.

Od Redakcyi.

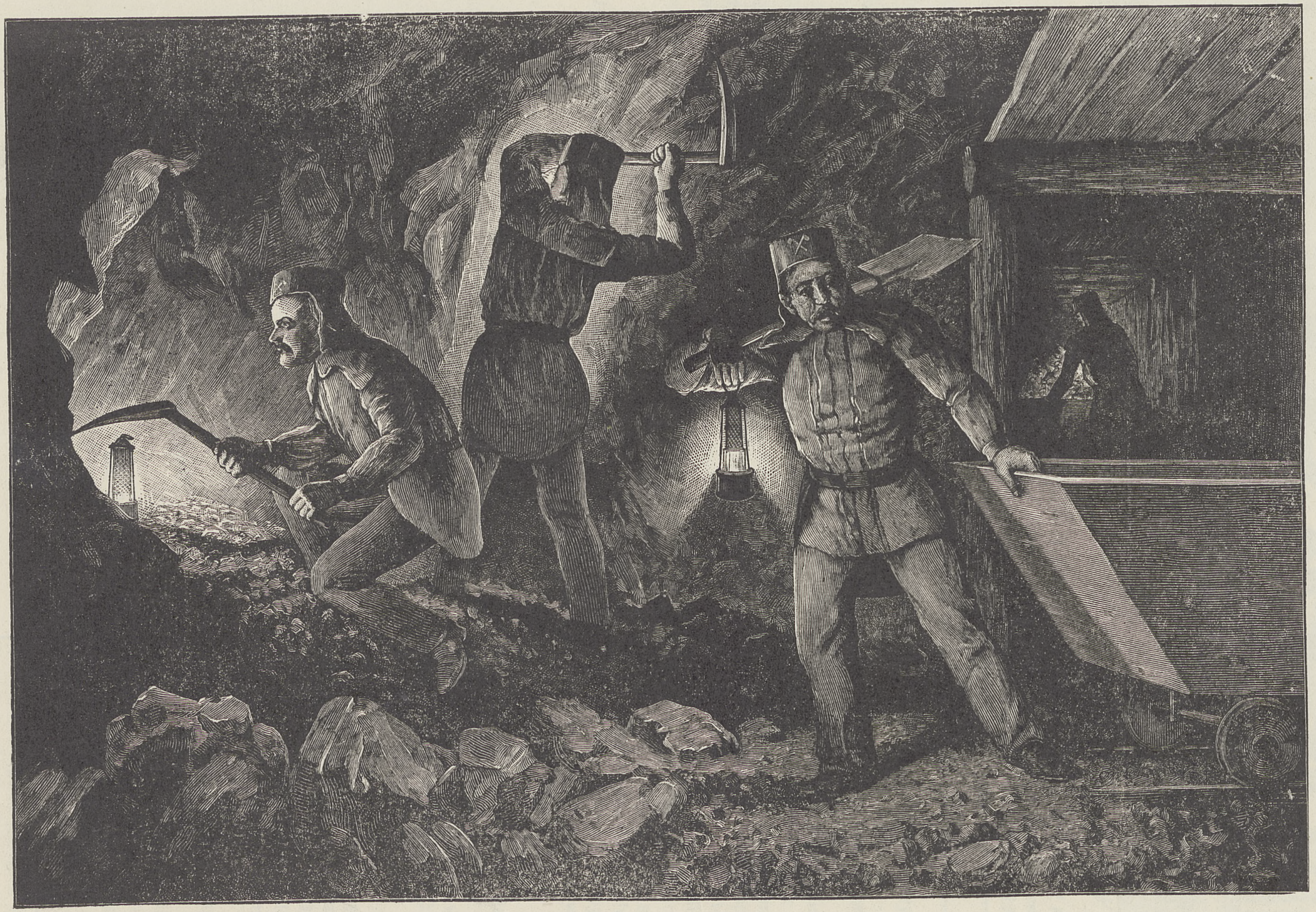
Każdy korespondent powinien zwracając się do nas podawać swój dokładny adres. Tylko wyjątkowo możemy dawać odpowiedzi w piśmie.

P. Bukowicz. Nie będziemy już umieszczać. Jest racya.

P. Konst. Rudnicki — Husiatyn Galicya. — Zapłacono.

P. Labudda — Szczecin. — Zgłoś się Pan do księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy" **Wincenty Szmytkowski.**



W kopalni węgli kamiennych.

Album „Pracy.“ Drukiem „Pracy.“